Nr. 50. Warszawa, dnia 10 Grudnia (28 Listopada) 1892 r. Rok XII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2. k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Na rok 1893.

Dotychczasowym przyjaciołom Prawdy, którzy nimi nadal pozostać zechcą, polecamy ją również w roku następnym. Nie potrzebujemy ukrywać, że zwiększony zastęp abonentów pozwoliłby nam podnieść pismo nasze wyżej. Wszystkie nadsyłane nam przez nich środki pod postacią prenumeraty zużytkowujemy na potrzeby wydawnictwa tak zupełnie, że Prawda nie daje nam nawet najdrobniejszych zysków materyalnych, a poniekąd stoi ofiarnością tych, którzy w niej pracują. Od nowego roku pójdzie ona w treści dwunastoletnią swoją drogą, tylko w szacie zewnętrznej przybierze nieco wytworniejszą postać. Nie sypiemy wszakże hojną dłonią plew przednoworocznych, bo nie wabimy do sieci wróbli, lecz przemawiamy do ludzi ukształconych. Dawni nasi prenumeratorzy wiedzą, że reklama nie jest naszym środkiem, a spekulacya celem, że tego rodzaju sposoby zdobywania życzliwości uważamy za niegodne ich i nas. Utrzymywaliśmy dotąd i zachowamy stale stosunek z naszem-czytelniczem kołem poważny, taki, który by odpowiadał godności, moralnemu i umysłowemu stanowisku stron obu.

Pragnących pozostać z nami lub przyłączyć się do nas w roku przyszłym prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty, która nam pozwoli w porę zadość uczynić ich żądaniom.

Uwaga. Zastrzegamy, że administracya nasza ponosi straty, otrzymując prenumeratę markami w listach naklejanemi oraz że biletów bankowych dawnego stempla, przeznaczonych do wycofania, przyjmować nie może.

POLITYKA.

PIERWSZE STRZAŁY.

Nawet nieprzyjaciele nie mogą odmówić przewódcy postępowców niemieckich, Richterowi, wielkiej znajomości wielu spraw, zajmujących stale parlament, zwłaszcza zaś wojskowych. Walcząc z Bismarkiem najczęściej na tem polu i zwalczając potworny rozrost militaryzmu, nie poprzestał on na wymowie, którą posiada w wysokim stopniu i na dowcipie, który go nigdy nie opuszcza, lecz zabrał się z prawdziwie germańską pracowitością i gruntownością do studyów nad siłami zbrojnemi Europy. Owocem tych ciągle odświeżanych badań jest olbrzymia i zadziwiająca w człowieku cywilnym wiedza, której mógłby mu pozazdrościć niejeden generał. Richter nietylko zna liczebność, organizacyę, rozmieszczenie, system rekrutowania, każdorazowe pogotowie, środki i zdolności armii niemieckiej, ale również każdej innej w Europie. Pamiętne są wypadki obrad sejmowych, w których pobijał tego rodzaju erudycyą pruskich ministrów wojny, już z powołania i urzędu swego obowiązanych i mogących mieć przewagę nak każdym niewtajemniczonym. Wybierany zawsze do komisyj parlamentarnych, rozbierających wnioski budżetowo-militarne, nicował je bez miłosierdzia i nieraz by je udaremnił, gdyby Bismark nie posiadał w sejmie służalczego chóru kiwających głowami na wszelkie jego żądania. Rzecz naturalna, że człowiek obdarzony taką wiedzą i talentem krasomówczym, przedstawiał się Capriviemu jako najniebezpieczniejszy przeciwnik zamierzonej reformy wojskowej, powołującej kraj do nowych i przerażających go wysiłków. Jak zaznaczyliśmy wielokrotnie, cyfry statystyczne są jednym z najbardziej kuglarskich narzędzi w zręcznych rękach—wszystkiego można niemi dowieść. Cóż dopiero cyfry, okryte tajemnicą, dotyczące armii! Jeden sofista wykaże słabość tam, gdzie drugi siłę. Jak zaczną zliczać bataliony, szwadrony, pułki, zapasy, rezerwy, landwery, szeregi podczas pokoju i wojny, rekrutów możliwych i rzeczywistych, tak zwyczajnemu śmiertelnikowi zrobią w głowie wir i chaos. Na tej zaś sztuce polega dziś przeprowadzenie każdej podwyżki w budżecie wydatków i liczebności armii. Jeżeli tylko minister weźmie się do rzeczy umiejętnie, wykaże najściślej, że Francya posiada 4 miliony wojska, chociażby rze-

czywiście miała tylko milion. Otóż biegły, na cztery nogi kuty Richter, nie da się w ten sposób obałamucić cyframi, gdyż nietylko ze sprawozdań urzędowych, ale z jakichś prywatnych źródeł zna każdą pozycyę etatu i organizacyi wojskowej wszystkich państw europejskich.

Projekt reformy, podwyższającej znacznie siły zbrojne Niemiec, jeszcze nie wszedł pod obrady, ale nieustraszony jego przeciwnik skorzystał już z innej sposobności, ażeby wypuścić przeciw niemu pierwsze strzały. Nie będziemy tu streszczali obszernej krytyki Richtera, który ją z pewnością rozwinie jeszcze szerzej w właściwej chwili, zauważymy jedynie, że z niej nie można wyciągnąć dobrej wróżby dla zamiarów rządu. Rozbiją się one o dwa punkty, które przewódca postępowców szczególnie zaakcentował: 1) że naród nie wytrzyma takiego ciężaru i 2) że w obecnej chwili podobna z jego strony ofiara nie ma żadnego usprawiedliwienia. Caprivi nie dostrzegł, że uwikłał się w sprzeczności. Chciał bowiem ułagodzić naród zapewnieniem, że brzemię będzie rozłożone i całkowicie spocznie na jego barkach dopiero za lat 20, a jednocześnie tłomaczył je potrzebą obrony przed grożącem już dziś niebezpieczeństwem. Cóż to za dziwne niebezpieczeństwo — woła szyderczo Richter — które już dziś istnieje i przez 20 lat czekać będzie, aż się dostatecznie uzbroimy! Trudno odeprzeć ten wywód. Jeżeli wojna na dwu frontach może niedługo wybuchnąć a Niemcy wraz ze sprzymierzeńcami nie mogłyby jej podołać, czemuż rozkładają swoje pogotowie na tak długi przeciąg czasu? Widocznie nie są one jeszcze „zdystansowane“ i widocznie że strach jest malowany.

Dawniej, kiedy rząd miał na swe usługi „kartel“ stronnictw mu uległych, mógł lekceważyć sobie tego rodzaju rozumowania i szyderstwa. Ale teraz dawna większość sejmu stoi rozbita, ci zaś, którzy są w stanie przeważyć szalę, nie chcą rzucić na nią swych głosów darmo i żądają uciążliwego okupu (centrum). Dosyć przeto prawdopodobną wydaje się pogłoska, że po odrzuceniu projektu reformy wojskowej rząd zamierza rozwiązać sejm i przedsięwziąć nowe wybory, od których spodziewa się większej dla siebie życzliwości. Wilhelm II miał oświadczyć, że on powiększoną armię mieć „musi.“ Zobaczymy, czy ją otrzyma na drodze konstytucyjnej, bez zastosowania swej dewizy, którą kiedyś wypisał pod swą fotografią ministrowi oświaty.

Z AUSTRYI.

Najnowsze przesilenie. — Zagadkowość położenia. — Mowa ks. Schwarzenberga i odpowiedź hr. Taaffego.— Rokowania i głosowanie nad funduszem dyspozycyjnym. — Obie strony przebiegu rzeczy. — Plener jako kozioł ofiarny. — Antypatye i sympatye jako czynniki przesilenia. — Cele i widoki na czas bliższy i dalszy.— Nowy manewr wobec niemców.

Streśćmy położenie chwilowe w kilku słowach. Hr. Taaffe pozostaje u steru, aczkolwiek większość parlamentu, odmawiając mu funduszu dyspozycyjnego, obaliła gabinet, wedle pojęć konstytucyjnych ogólnie przyjętych. Niemcy głosowali przeciw rządowi wspólnie z młodo-czechami, chociaż przyczynę obecnego przesilenia wytwarza sprzeczność między żądaniami niemieckiemi a czeskiemi. Po stronie przeciwnej, rządowej, stoją feudałowie czescy, chociaż między nimi a młodo-czechami w kwestyach, o które chodziło, panuje jednomyślność zupełna.

Rzućmy okiem na przyszłość najbliższą. Należałoby przypuszczać, że niemcy po tak stanowczym kroku przejdą otwarcie do opozycyi, a jednak prawie pewnem jest, że zostaną oni mniej więcej w tym samym stosunku do rządu, w jakim znajdowali się dotychczas. Należałoby przypuszczać, że niemiecki minister bez teki, hr. Kuenburg, który w pierwszej chwili podał się do dymisyi, otrzyma ją teraz po owym fatalnym wyniku głosowania i wystąpi z gabinetu — a jednak pozostanie on w nim prawdopodobnie i nadal. Należałoby wreszcie przypuszczać, że położenie na pozór rozpaczliwe zmusi hr. Taaffego do znacznych i zasadniczych ustępstw wobec którego ze stronnictw dla uzyskania jakiejkolwiek większości w parlamencie; tymczasem prześliźnie on się prawdopodobnie i teraz kilku zręcznemi słowami.

Cofnijmy się wstecz o kilka kroków, żeby zobaczyć, co zakłóciło tak niespodzianie spokój dotychczasowy parlamentarnej sielanki austryackiej, w której barany i owieczki skubały cierpliwie obok siebie trawę pod czujnem okiem prezesa gabinetu, a tylko wilki młodo-czeskie wyszczerzały zęby zdaleka. Nie zgadlibyśmy nigdy, że to sam ów pasterz stał się przyczyną popłochu, że sam hr. Taaffe, mistrz dyplomacyi parlamentarnej, nieopatrznem — na pozór — słowem pomieszał szyki, które ułożył poprzednio z taką cierpliwością i sztuką. Nie zgadlibyśmy również, że stronnictwo Plenera, odznaczające się w ostatnich czasach nadzwyczajną pobłażliwością dla wszystkiego, co czynił i mówił prezes gabinetu, oburzy się odrazu na niewinną jego uwagę, niezawierającą niczego, czegoby przedtem nie było można powiedzieć.

Cóż się bowiem stało? Na mowę ks. Schwarzenberga, magnata czeskiego, zasiadającego w klubie Hohenwartowskim, który wystosował do rządu zapytanie, kiedy opróżnione miejsce ministra Pražaka zostanie znów obsadzone, prezes gabinetu odpowiedział, że stanie się to w czasie stosownym. Zapewnienie to nie mogło zadziwić nikogo. Najśmielsi sangwinicy obozu niemieckiego nie mogli przypuszczać, że miejsce ministra czeskiego będzie zawsze próżne w gabinecie, związanym dotychczas ściśle z feudałami czeskimi. Mogli oni spodziewać się jedynie, że rząd wstrzyma się z zamianowaniem następcy Pražaka aż do załatwienia ugody czesko-niemieckiej. Słowa hr. Taaffego nie rozwiały więc u nich żadnych złudzeń; przeciwnie, mogli się oni byli, gdyby tylko chcieli, dopatrzeć nawet we wzmiance o czasie „stosownym“ aluzyi dla siebie korzystnej, odnoszącej się do ugody. Jedna tylko okoliczność nadawała oświadczeniu temu charakter niepokojący dla stronnictwa Plenera. Prezes gabinetu wygłosił je znienacka, nie porozumiawszy się poprzednio z nimi. Z tej to przyczyny wyłącznie, a więc dla błahej formalności — jakby się wydawać mogło — dla drobnego wykroczenia przeciw obowiązkom grzeczności ze strony hr. Taaffego powstała wśród stronnictw niemieckich i w prasie wiedeńskiej wrzawa niesłychana. Przewódcy liberałów zażądali od prezesa gabinetu zadośćuczynienia. Hr. Taaffe oświadczył, że jest gotów wstąpić z nimi w układy pod tym względem. Wtem — nowe trudności — zbliża się dzień głosowania nad funduszem dyspozycyjnym, chwila zasadnicza i główna w rozprawie budżetowej. Niemcy musieliby głosować za rządem lub przeciw niemu przed ukończeniem rokowań. Żądają więc odsunięcia owego głosowania na kilka dni. Prezesowie Koła polskiego i klubu Hohenwarta sprzeciwiają się

---

3)

BANKRUTKA.

Obrazek.

Usiadłszy na krawędzi łóżka, Marcinowa odchrząknęła i już miała zacząć mówić, gdy wtem spostrzegła nagłą zmianę w twarzy Heleny. Głowa jej zwisła bezwładnie na poduszki, powieki opadły, wargi zacisnęły się konwulsyjnie.

Wyczerpana rozmową i próbą podniesienia się z łóżka, Helena zemdlała.

Po kilku minutach wysiłku doprowadzono ją do przytomności. Lekarz, który nadszedł w tej chwili, nakazał spokój bezwzględny i wzbronił chorej surowo pytać o cokolwiek.

Kilka dni minęło, zanim Marcinowa za zezwoleniem doktora, opowiedziała szczegółowo wszystko, co zaszło w ciągu ostatniego miesiąca.

Chłopcy zaraz w początkach choroby Heleny przestali chodzić do szkoły: nie było z czego płacić za nich wpisu. Józik zwrócił się wprawdzie z prośbą o wsparcie do bogatego stryja, mieszkającego na Litwie, nie otrzymał stamtąd jednak żadnej odpowiedzi.

— Kiedyśmy usłyszeli, że choroba potrwa z jakie dwa miesiące — mówiła Marcinowa — tak uradziliśmy z moim starym, żeby Józka oddać do kupca tu na rogu do sklepu, po kwartale dostanie tam pierwszą pensyę, jakieś parę rubli. Są z niego tam zadowoleni, porządny i dobry chłopak, tylko delikatny, za delikatny na taką robotę, paniczyk...

— Władka wzięła ze sobą ciotka, ta co jest podobno nauczycielką u jakichś państwa w Piotrkowie; chłopcy wezwali ją tutaj: przyjechała zaraz po otrzymaniu od nich listu. Pisała już stamtąd, donosząc, że umieściła Władka u siodlarza. Będzie mu tam dobrze, zresztą chłopakowi nie zaszkodzi nigdy, jak go się oderwie od fartuszka matki...

Patrząc na Helenę małemi, ruchliwemi swojemi oczkami, Marcinowa dorzuciła jeszcze:

— Bo to odrazu powinna pani była tak zrobić: oddać chłopaków do rzemiosła, a nie ślęczyć po nocach, żeby ich wychować na rabinów, co to dopiero jak ołysieje, to może zapracować na siebie i kogoś.

W tej chwili Tośka zaczęła domagać się śniadania. Marcinowa wstała, aby je przyrządzić. Prócz tego, w pokoju trzeba było zrobić zwykłe porządki: zamieść podłogę, przesłać łóżko chorej.

Krzątając się wzdłuż ciasnej izdebki, Marcinowa pomrukiwała sama do siebie:

— U szlachty to tak zawsze: to delikatne panie za nauką nie widzą palców u rąk swoich...

Nakarmiwszy Tośkę, skończywszy sprzątanie, rzekła, zwracając się do Heleny:

— Za godzinę przyniosę pani rosół z sucharkiem, a nie trzeba rozmyślać nad swoim losem i smucić się: da Pan Jezus, wszystko będzie dobrze...

Rozejrzała się jeszcze kilkakrotnie po pokoju, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku i wsunąwszy do rąk Tośki obwarzanek, wyjęty z kieszeni, wyszła.

. . . .

Chłopcy jej usunięci ze szkół, gdzie tak szybkie robili postępy: oba w ciężkiej, twardej pracy, która zniszczyć może wątłe ich siły; Władek zdaleka od niej, pod obcym, nieznanym jej zgoła kierunkiem!

Leżąc nawznak, wpatrzona w pająka zasnuwającego sieciami schwyconą na prędce muszkę, Helena usiłowała przypomnieć sobie wyraźnie opowiadanie Marcinowej, która opuściła ją przed chwilą.

Luźne słowa plątały się po jej głowie.

tomu. Wskutek tego dzień ów fatalny nadchodzi, nim jeszcze układy między Plenerem a hr. Taaffem doprowadziły do celu i — niemcy głosują przeciw funduszowi dyspozycyjnemu.

Jeśli więc przypatrzymy się sprawie tylko ze strony zewnętrznej, dochodzimy do rezultatu, że niemcy zerwali z hr. Taaffem, ponieważ uchybił on względom grzeczności parlamentarnej wobec nich.

Uchybienie takie nabiera jednak w tej chwili innego znaczenia, jeśli przedstawia się jako umyślne. A czy można przypuszczać, że hr. Taaffe nie był świadom tego, co czyni, gdy odpowiadał hr. Schwarzenbergowi i że nie przewidywał wrażenia, jakie wrzekoma jego improwizacya wywrze na stronnikach Plenera? Czy można następnie przypuszczać, że, gdyby był chciał, nie potrafiłby opóźnić głosowania nad funduszem dyspozycyjnym lub przebłagać w krótszym czasie dotychczasowych swych sprzymierzeńców niemieckich?

Otóż więc druga strona sprawy: prezes gabinetu stworzył sam, świadomie i umyślnie obecne położenie. Po której stronie leży prawda? A jeśli skłonimy się bardziej do drugiego przypuszczenia, nasuwa się nowe pytanie: dlaczego hr. Taaffe miałby się był wyrzekać dotychczasowej swej większości, nie mając nowej, żeby ją zastąpić?..

Wszystko to wydaje się na pierwszy rzut oka zagadkowem, a jest w istocie wcale jasnem.

Była to niespodzianka w pierwszej chwili tak dalece nieoczekiwana, że nie umiano jej sobie tłomaczyć inaczej, jak za pomocą pobudek natury osobistej.

Mówiono np., że liberałowie austryaccy muszą płacić obecnie koszty tryumfu odniesionego przez liberałów węgierskich nad chęciami i dążnościami kół najwyższych w sprawie kościelnej. Po decyzyi wymuszonej koniecznością pozostała tam pewna gorycz, której skutki miały objawić się teraz. Skrupiło się na Plenerze, choć zawinił Wekerle.

Wedle innych znów, sam Plener, aczkolwiek mimowolnie, spowodował niekorzystny dla swego stronnictwa obrót rzeczy. Przywódca liberałów niemieckich posiada mianowicie w wysokim stopniu fatalny dar wywoływania u przeciwników — a po części i u sprzymierzeńców — obok uczuć, wypływających z antagonizmu lub solidarności politycznej — głębokiej antypatyi osobistej. Jest to człowiek czystego jak łza charakteru, nieskalanej sławy, lecz, niestety, obdarzony miernemi tylko zdolnościami, a za to wielką zarozumiałością. Można powiedzieć o nim, co powiedziano niedawno o pewnym ministrze francuskim: qu'il a l'honnêteté désagréable. Niemiecki ten Kato odznacza się w pozakulisowem życiu parlamentarnem iście germańskiem grubiaństwem i sztywnością karku. Miało to wywołać z czasem głęboką niechęć ku niemu u dworu i u członków gabinetu, niechęć, którą kierowano się mimowoli nietylko wobec niego, lecz też wobec jego stronnictwa.

Inni wreszcie twierdzą, że większą jeszcze rolę, niż ta antypatya, odgrywała w ostatnich wypadkach sympatya, węzły ściślej przyjaźni, łączące oddawna hr. Taaffego z czeskimi magnatami i z klubem Hohenwartowskim. Mowa hr. Schwarzenberga i odpowiedź prezesa gabinetu zostały wedle tych zapewnień ułożone na wspólnem polowaniu, a polityka, której trzymali się i trzymają dotychczas nawzajem wobec siebie hr. Taaffe i hr. Hohenwart, jest wynikiem gawędek poobiednich. Niemcy mają tu niejako do czynienia z kołem znajomych, któremu zachciało się zaznaczyć swą solidarność wobec obcych intruzów, wpychających się po za kulisy rządowe.

Nie ulega wątpliwości, że w każdem z tych tłomaczeń mieści się odrobina prawdy i że wszystkie powyższe okoliczności wpływały na przebieg zdarzeń w dniach ostatnich. Nie należy wszakże zapominać o tem, że zdarzenia te były wypływem polityki hr. Taaffego, zawsze ostrożnej i obliczonej na długie okresy a niedającej się nigdy sprowadzić całkowicie do chwilowych popędów.

Główną cechą tej polityki, jak wogóle kół najwyższych w państwie Habsburgów, jest pewna bierność, objawiająca się jako głębokie uszanowanie dla wszelkiego rodzaju powodzeń. Ktokolwiek ma je za sobą, może być pewnym, że nie natrafi w Hofburgu wiedeńskim na opór długi i konsekwentny. Na takie powodzenie mogli powołać się madziarzy, więc też już dawno ugięła przed nimi głowę monarchia austryacka. Dziś zwycięzcami są młodo-czesi. Rozbili oni w puch potężne kiedyś stronnictwo, są panami kraju wielkiego i bogatego, bronią swych zasad stanowczo i wytrwale. Nie możnaby się przeto dziwić, gdyby w najwyższych kołach wiedeńskich powstała myśl zjednania sobie przyjaciół w tych wrogach i gdyby do głowy prezesa gabinetu zakradła się tą lub inną drogą owa „mrzonka" o czeskiem prawie państwowem, która, jak wspomniałem już w liście ostatnim, staje się coraz poważniejszym czynnikiem w wewnętrznej polityce austryackiej. Wielce uwagi godną jest pod tym względem okoliczność, że hr. Taaffe w swej odpowiedzi na mowę ks. Schwarzenberga ominął pierwotnie zupełnie owe zwroty, w których magnat czeski poruszył kwestyę prawa państwowego i dopiero w kilka dni później zastrzegł się dość słabo przeciw zarzutowi, że podziela tę dążność swych feodalnych przyjaciół.

Naturalnie nie może dziś jeszcze być mowy o bezpośredniem urzeczywistnieniu tego żądania młodoczeskiego. Bliższą jest kwestya ugody, z którą należy załatwić się jaknajprędzej. Nikt nie wątpi dziś już o tem, że rząd wyrzekł się na tym punkcie pierwotnych swych zamiarów. Chce on zbyć niemców drobniejszym kąskiem, niż ów, który wyznaczył im kiedyś. Dlatego starał się dotychczas o pobłażliwość tych, którzy kąsek ten przyjąć mają, dlatego stara się dziś znów o względy tych, którzy go udzielić muszą. Pierwsze nie powiodło mu się zresztą zupełnie. Apetyt stronnictwa Plenerowskiego jest zbyt wielkim i nie daje on się wogóle zaspokoić na czas dłuższy. Należało więc spróbować, czy nie można go zmniejszyć za pomocą strachu. Dlatego to hr. Taaffe zrezygnował z pomocy swych dotychczasowych sprzymierzeńców niemieckich przy dyskusyi nad funduszem dyspozycyjnym. Porażkę swą zniósł w najlepszym humorze, gdyż oświadczył z góry, że niepomyślnego wyniku głosowania nie będzie uważał jako wotum nieufności i że będzie rządził w każdym razie. Wie zaś doskonale, że przy targowaniu się nie ma lepszego manewru, żeby zmusić sprzedającego do zniżenia ceny, niż, jeśli się odchodzi, udając, że się nie kupi niczego. Wie również, że stronnictwo Plenera wzdryga się przed powrotem do opozycyi, gdyż skompromitowało ono już dawno oportunistyczną polityką swe liberalne zasady, a nie mając zasad, musi szukać powodzeń.

Najlepiej określimy więc cechy obecnego położenia, jeśli powiemy, że prezes gabinetu austryackiego dotychczasową swą taktykę wobec niemców wzbogacił nowym manewrem: straszy i przyzwyczaja ich zarazem. Dlaczego zaś straszy i do czego przyzwyczaja, nietrudno odgadnąć. Zaproponował on im już, zamiast małżeństwa, którego żądają, to, co francuzi nazywają *ménage à trois*, prędzej lub później zaofiaruje im *ménage à quatres*.

S—l.

Nie umiała powiązać ich w całość, nie mogła jeszcze myśleć logicznie; wiedziała tylko, że marzenia, jakiemi żyła dotąd, rozwiane bezpowrotnie!

Tego i następnego dnia zbyt jeszcze była niedołężna, aby módz powziąć jakiekolwiek postanowienie. Po tygodniu jednak powiedziała sobie:

— Będę pracowała nadal, krwawym bojem wywalczę to, co straciłam; przeszłość dzieci moich musi być taką, jaką ja dla nich mieć chcę, nie taką, jaką narzucają im ludzie...

Opanowała ją gorączkowa żądza jaknajprędszego podniesienia się z łóżka i rozpoczęcia przerwanych zajęć.

Jeszcze była osłabiona, wynędzniała, zmieniona, suwała zaledwie ciężkiemi, jakby spętanemi stopami, kiedy po raz pierwszy wyszła z domu, aby szukać pracy.

Niestety, tam, gdzie dwa miesiące temu dawała lekcye, nie chciano jej już więcej, przyjąwszy na jej miejsce kogoś innego. W kantorach biur, gdzie podawała nazwisko swoje, prosząc o zajęcie, patrzono z niedowierzaniem na wynędzniałą jej postać, zapadnięte, podkreślone i mgłą przysłonięto oczy, sine wargi.

Mówiono jej:

— Czas jakiś musisz pani wypocząć: przeszłaś zapewne ciężką chorobę; nie byłabyś zdolną do zajęcia się czemkolwiek w tej chwili...

Dzień za dniem mijał: lekcyi jak nie było, tak nie było.

Marcinowa z chwilą kiedy Helena po raz pierwszy podniosła się z łóżka, rzekła, uderzając ją z zadowoleniem po ramieniu:

— No, to i dobrze, żeś pani już zdrowa, przynajmniej mój stary odpocznie. Przez ten czas, kiedy ja tu ciągle przychodziłam, spracował się tam na dole rzetelnie. Jak już wszystko pójdzie dobrze, jak znajdziecie robotę, to pamiętajcie obrachować się z nami. Co mogłam, ze swego wam przez to dwa miesiące dawałam: jakiś rosołek, kawałek mięsa dla dziecka, tego przecież nie policzę; uzbierało się jednakowoż dosyć innych wydatków; jak mogłam, tak łatałam. Sprzedaliśmy wam trochę rzeczy: stół, kanapę; to poszło na aptekę; kilka rubli zostawiła ta pani, co przyjechała po Władka i to zjadły lekarstwa. Bułki, chleb, mleko, co się brało od nas przez ten czas, to mój stary wszystko zapisał. Bóg widzi, że nam też ciężko: inaczej nie przypominalibyśmy długu...

Słońce grało barwą złota na seledynowem niebie; w powietrzu unosił się śmiech wiosny.

Promienie ciepła i światła rozgrzewały chłodne mury poddasza. Tośka śmiała się do jasnych blasków, wygrzewając w oknie, jak kociak, drobne swe ramiona i białą szyjkę.

Helena nie mogła patrzeć na świetlne smugi, wpadające przez okno do środka pokoju; nie mogła słuchać śmiechu i wesołych okrzyków Tośki: do oczów jej cisnęły się łzy, myśl goniła pytanie:

— Co będzie z nami? co będzie?

Trzy tygodnie upłynęły od chwili, kiedy po raz pierwszy wyszła na miasto, aby starać się o pracę: dotąd cień nadziei nie świtał dla niej. Wszędzie powtarzano jej:

— Trzeba czekać — i wzruszano ramionami, gdy ona zbyt natrętnie domagała się najprostszego, choćby najmniej przynoszącego zajęcia.

Z pokoju na facyatce ostatni mebel, szafa mahoniowa z dawnych, lepszych czasów, przeszła w ręce handlarzy; po opłaceniu komornego i zaległych długów w sklepiku pieniędzy na życie pozostało bardzo niewiele. Właściciel sklepiku buntował się przeciwko dawaniu w dalszym ciągu wiktuałów na kredyt.

— Każdy ma swoje obowiązki, o których powinien myśleć — odpowiadał żonie, gdy ta wstawiała się doń za Heleną i jej

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jak wielką ilość kombinacyj zrobić można z niewielu jednostek, przekonywają ministerya we Francyi. Jest tam szczupła garstka ludzi zdolnych lub uważanych za zdolnych do rządzenia, i Carnot, zmuszony co parę miesięcy stwarzać nowy gabinet, układa z nich: świeży. Gdy upadł Loubet, zdawało się, że trzeba będzie powrócić do jednego z dawniejszych skojarzeń, wynaleziono wszakże coś sezonowego. Z poprzedniej spółki usunięto tylko dwu członków, a głównie ministra sprawiedliwości za jego powolność dla łotrostw panamskich, na czele zaś odświeżonej stanął Ribot. Przy sterze więc stanęły żywioły umiarkowane, co znaczy, że błoto panamskie nie będzie wydobywane na wierzch z wielką energią i szczerą chęcią ujawnienia go w całości. A praca to nietylko wstrętna, ale i olbrzymia. Złożono przed komisyą parlamentarną zeznania drążą tylko coraz szerszą i coraz głębszą otchłań, której niepodobna wymierzyć i odpowiedzieć na pytania: kto rozdawał i kto brał łapówki, ile, na co, kiedy? Ponieważ w wielu wypadkach na rozmaitych dowodach spoczęła maska, nałożona przez ludzi już nieżyjących, więc wątpić należy, czy najskrupulatniejsze dochodzenie zdoła kiedykolwiek wyczytać pod nią prawdę. Ale do tej prawdy można zbliżyć się mniej lub więcej, co znowu zależy od rządu. Ponieważ komisya parlamentarna, chcąc wyłapać wszystkich winowajców, rozpoczęła formalne śledztwo, jakie w zwykłym biegu rzeczy jest prawem i obowiązkiem organów sądowych, więc pomiędzy nimi a nią wybuchło starcie. Przedewszystkiem naczelny prokurator zaprotestował przeciwko wkraczaniu Izby na jego pole i zagroził dymisyą. Otóż nowy gabinet w swem pierwszem oświadczeniu zapewnił, że będzie strzegł granicy, oddzielającej władze ustawodawcze od wykonawczych, co można rozumieć tak, że skrępuje komisyę parlamentarną i sprawę kanału panamskiego powierzy głównie sądom, bardziej pobłażliwym dla winowajców, niż członkowie komisyi. O „zatuszowaniu“ jednak skandalu niema mowy, zanadto wiele dowodów spoczywa w rękach nieprzyjaciół Rzeczpospolitej, którzy usiłują zniesławić ją swemi odkryciami.

W Niemczech jątrzy namiętności proces Ahlwardta, autora słynnej broszury „Judenflinten,“ który oskarżył fabrykę broni Löwego o umyślnie złe wyrabianie karabinów dla armii niemieckiej. I w tej sprawie widoki zmieniają się ciągle. Jej bohater bowiem raz ukazuje się jako zwykły oszczerca, to znowu jako człowiek, który coś złego złapał i odsłania. Na ostatniem posiedzeniu sądowem, gdy jego adwokatowi odmówiono przyjęcia nowych dowodów, ten zrzekł się obrony i wyszedł z sali, za co ukarano go 100 markami grzywny. Tymczasem w jednym z okręgów wybrano uwięzionego Ahlwardta posłem do sejmu ogromną większością, czego może nikt się nie spodziewał i co sprawiło wielkie wrażenie.

Ostatnia plotka z Austryi donosi, że liberałowie niemieccy porozumiewają się z młodo-czechami dla utworzenia łącznego zastępu w Radzie państwa. Jest to wszakże kaczka dość dzika.

Przyjaciele Gladstone'a zapewniają, że on wysiedział już jaja swoich projektów ustawodawczych i że olbrzymie z nich pisklęta okaże wkrótce Izbie gmin. Wysiadywanie to trwa nieco za długo.

BADANIA NAUKOWE.

HORDA PIERWOTNA.

(Szkic etniczno-antropologiczny).

Prace Mac Lennana, później Lubbocka wprowadziły do nauki antropologicznej pojęcie „hordy pierwotnej,“ opartej na bezładnem obcowaniu małżeńskiem pomiędzy jej członkami, przyczem ostatnie wymieniony badacz wypowiedział twierdzenie, że im dalej cofamy się w przeszłość rodu ludzkiego, coraz bardziej małżonkowie zacierają się i rozpływają w gromadzie. Również z przedstawienia Morgana daje się wywnioskować, że i on przyjmował to ogniwo pierwotne. Atoli dotychczas po za wzmianką ogólną zgoła nie probowano określić, czem była owa horda pierwotna lub na czem polegało owo obcowanie bezładne. Tu i owdzie milcząco podsuwano pogląd, że przypominała ona trzodę zwierząt roślinożernych. Jeżeli jednak zważymy, iż żywność, wymagana przez naszych praprzodków, jest inna, niż bawołów lub antylop i że zgoła nie umożliwiała istnienia większych gromad a zmuszała do tułania się grupkami nielicznemi, odrazu zrozumiemy niewłaściwość takiego przyrównania. Chcemy właśnie poruszyć tę sprawę, spoczywającą dotychczas odłogiem.

Za punkt wyjścia obierzemy plemię dyferów i kilka pokrewnych, zamieszkujących środkowe okolice lądu australskiego dokoła jeziora Eyre. Z materyału etnograficznego wynieśliśmy przeświadczenie, że wśród dzisiejszej ludzkości jest to grupa, przedstawiająca najwięcej rysów dzikich. Dodajmy nadto, że dzięki pracom Gasona i Howitta, stosunki tamtejsze należą do bardzo dobrze zbadanych. Plemię dyjerów jest rozrzucone na znacznej przestrzeni grupami drobnemi z 8—10 osób, jak zresztą być nie może inaczej wobec sposobów używanych do wyzyskiwania przyrody. Podstawą stosunków małżeńskich w tym bycie rozpierzchłym jest związek parzysty pomiędzy dwojgiem osób, ściśle zakreślony i wyraźnie wydzielający się z pośród plemienia, a dochodzący do skutku na zasadzie uroczystych zaręczyn. Podczas niektórych uroczystości plemiennych, wszyscy dyjerzy się zbierają. Uprzednio obraduje wielka rada plemienia i wydziela każdemu mężczyźnie żonę czasową na przeciąg święta, a kobiecie męża — zawsze w granicach, nakazanych przez organizacyę klasowo-totemiczną. Wyroki te są obwieszczane w obozie wśród wrzasków i krzyków radosnych. Ponieważ takie wyznaczanie odbywa się na każdej odpowiedniej uroczystości, więc po pewnym przeciągu czasu mężczyzna prócz żony własnej ma kilka piraurok (żon czasowych), żona zaś jego kilku piraurów. Wszystkie one nie tracą praw swoich. Kilka godzin podczas uroczystości przedstawia obraz, na który rzucimy zasłonę. Po za zborem stosunki ustają, chyba że wyznaczone sobie osoby razem obozują, lecz wtedy potrzeba zgody męża indywidualnego lub żony, o ile są oni obecni. Nadto zwyczaj uświęca, w nieobecności męża i jakiegokolwiek pirania, prawo małżeńskie mężczyzny do sióstr żony, a kobiety do braci męża. Dzieci kobiety, lubo nie zawsze może ona wskazać, od kogo pochodzą, uznawane są za potomstwo męża indywidualnego. Nie wchodzimy w dalsze drobiazgi, zaznaczamy jądro główne, mianowicie że u najniższego ze znanych plemion istnieje stały związek małżeński, a zbiorowe obcowanie w normalnym biegu życia zdarza się wyjątkowo, kiedy grupy drobne się spotkają, ale i wtedy ulega ograniczeniu; że wreszcie jedynie podczas ogólno-plemiennych uroczystości jest ono zasadą, przyczem ponad wolą mężów indywidualnych i żon staje plemienna, upostaciowana w radzie starców. W ogólnym zarysie stosunki pokrewne znajdujemy w bardzo wielu okolicach globu ziemskiego, nawet

---

dziećmi. — Trudno poświęcać się dla wszystkich — dodawał. Gdybyś zubożała, z pewnością obcy chleba by ci nie dał: musiałabyś go szukać u ojca, matki, siostry albo brata: niech familia pomaga tym, co tego potrzebują...

Zamknął książkę kredytową na dobre i odtąd tylko za gotówkę postanowił wydawać towar.

Któregoś wieczora Tośka, nie dostawszy na obiad nic ciepłego, całując matkę, zawołała:

— Tak mi się jeść chce, mamusiu: daj mi choć kawałek chleba!

Nie było w domu chleba i nie było pieniędzy na chleb.

Marcinowa w sekrecie przed mężem przyniosła parę bułek w fartuchu i kilka drewek dla rozpalenia ognia na zagotowanie herbaty.

— Co będzie jutro, pojutrze i dalej, coraz dalej? — pytała sama siebie Helena.

W piersiach dławiły ją łzy, wysiłkiem woli powstrzymywane.

Próżno myślą szukała promyka nadziei na lepszą przyszłość: życie rzucało przed nią cienie, od których mroczyło się w sercu i w głowie.

Tośka, zaspokoiwszy głód, zasnęła, trzymając przy ustach kawałek niedojedzonej bułki. Helena, ciągle jeszcze bardzo osłabiona po chorobie, suwała się wzdłuż pokoju chwiejnym, niedołężnym krokiem.

Twarz jej wyrażała ból dręczącej troski; oczy zamglone, bezmyślnie błądziły po ciemnych ścianach pokoju.

— Co będzie? co będzie? — pytanie to drgało w każdym nerwie jej czucia.

Naraz — zmarszczone czoło rozchmurzyło się cokolwiek; usta poruszył szept.

— Tak, zrobię to, zrobić to muszę — zdawały się mówić cicho.

Cała jej istota zdradzała silne, niezłomne postanowienie, które kiełkowało w mózgu może już oddawna, które teraz jednak dopiero przeszło w akt woli.

Tośka spała od godziny. Ciemno było w pokoju. Z zapaleniem światła Helena czekać musiała na Józika, który wyprasza sobie u pryncypała kawałki świec niedopalonych i przynosił je z sobą do domu.

Myśli jej błądziły dokoła powziętego przed chwilą zamiaru: pierwszy raz w życiu miała zwrócić się do rodziny z prośbą o pomoc. Dziś jeszcze postanowiła napisać do kuzynki swej, Zosi, z którą przed laty kilkanastu żyła w serdecznej, szczerej przyjaźni. Matka Zosi, pani Marya Gawrońska siostra ojca Heleny, posiadała znaczny majątek ziemski na Litwie.

Los rozłączył przyjaciółki oddawna: nie widziały się przez długie lata; słyszały o sobie niewiele. Zosia, młodsza od Heleny, dotąd jeszcze była panną, grymasząc w wyborze męża.

Kiedy rozstawały się przed laty, powiedziały sobie:

— Będziemy zawsze siostrami, jedna dla drugiej; oddalone przestrzenią, myślą nie przestaniemy obcować z sobą; zmiana losu nie powinna wpłynąć na zmianę usposobień i stosunków naszych.

Było to wprawdzie już dawno, bardzo dawno! Obie wtedy jeszcze miały marzenia przed sobą: dziś — jedna straciła je na zawsze, druga — kto wie — może drwiła w tej chwili z pensyonarskich porywów wyobraźni swojej, nie przyznając, aby kiedykolwiek i kogokolwiek kochała.

Helena z Zosią nie korespondowały oddawna: czyj list był ostatni? — tego żadna z nich nie wiedziała; zapomniawszy o sobie wzajemnie, nie troszczyły się o to, kto zapomnieniu temu bardziej był winien?

(D. c. n.).

Cecylia Walewska.

u ludów bardzo posuniętych. Saturnalia rzymskie i greckie przedstawiają właśnie taki a nie inny widok. Jako przykład weźmy święto bogini Holiki w Udejpurze (w Indyach przedgangesowych). „Święto Holi zwiastuje nastanie wiosny — pisze autor z którego czerpiemy — i jest obchodem na cześć bogini Holiki czyli Vasanti, która w panteonie hinduskim przedstawia właśnie tę porę roku. Karnawał trwa dni kilka, podczas których panuje rozpusta najbardziej wyuzdana i bezład we wszystkich warstwach społecznych. Są to prawidłowo wracające saturnalie Indyj. Osoby, cieszące się największem poważaniem, bez względu na stanowisko i wiek, nie wstydzą się przyjmować udziału w tych orgiach, zwiastujących nastanie wiosennej pory roku. Uroczystość dopiero w ciągu ostatnich dwóch dni staje się bezładną, chociaż już od samego początku postacie krzycząco bezwstydne są wystawiane przy bramach miasta i u przejść głównych. Dzieci i kobiety tłoczą się około wstrętnych bałwanów uroczystości Holiki i pokrywają je kwiatami, a niemoralność najwyższa panuje na ulicach stolicy.“ Opuśćmy miasto cywilizacyi hinduskiej i udajmy się do górali boów w Bengalii. Dowiemy się, iż i tutaj, w styczniu, „kiedy spichlerze są pełne zboża a lud, że użyjemy miejscowego wyrażenia, goreje ogniem piekielnym,“ odbywa się coś podobnego. „Hoowie posiadają szczególne przekonanie, że mężczyźni i kobiety są w tym czasie tak przeładowani występnemi żądzami, iż jest to bezwzględnie potrzebnem dla zdrowia, ażeby pozwolono każdemu ulżyć natężeniu przez otwarcie zupełnego ujścia namiętnościom. Święto staje się saturnalią; wtedy służba zapomina swoich obowiązków względem panów, dzieci szacunku dla rodziców, mężczyźni dla kobiet, a kobiety wszelkich pojęć o wstydliwości, delikatności i przyzwoitości.“ W obu wypadkach, podobnie jak w pokrewnych obchodach starożytności klasycznej, mamy do czynienia z wyraźnie parzystem, a nawet monogramicznem (tj. nieprzerwalnem) małżeństwem, które podczas pewnych uroczystości ustaje. Równolegle ze zwyczajami dzikich dycrów jest zupełna, a zachodzące różnice są koniecznem następstwem odmiennego trybu życia. Fakty wskazują, że i w starej Europie bywało nie inaczej. Mannhardt w pracy swojej o kulcie gajów i drzew rozbiera mnóstwo przeżytków, w dzisiejszej postaci szczątkowej zdradzających podobną przeszłość. Z pośród wielu wybierzemy jeden zwyczaj, właściwy estończykom a obchodzony w noc świętojańską. Rozpalają duże ognisko, a dokoła niego tańcują kobiety i dziewczęta, tymczasem młódź męzka wypatruje dziewczynę. Kiedy dokonała wyboru, oddala się, wysyłając gromadę malców, którzy pod jakimkolwiek pozorem winni wywabić wskazane dziewczę z korowodu. Zostaje ona wtedy porwaną i przez krzaki, parkany, rowy zaniesioną do tego, który ją upatrzył. Rzuca on ją na ziemię i kładzie się przy niej; poprzestając na tym obrzędzie. „Dziewczęta, którym się to przytrafia, są bardzo rade, nawet jeżeli podczas porwania koszula zostanie podartą. Niewybrane ledwie zdołają ukryć swoją zazdrość i niezadowolenie. Matki opowiadają z radością o sławie i hołdzie, jaki złożono ich córkom.“ Wreszcie przy rozbiorze naszej sobótki, która nawet co do czasu odpowiada obchodowi estońskiemu, również możemy wykryć pewne rysy wskazujące takie same pochodzenie obrzędu. Należyte zbadanie zwyczajów i uroczystości ludów pierwotnych dostarczyłoby prawdopodobnie mnóstwa dowodów w tej mierze. Nie zbywa bowiem na wskazówkach. Fritsch np. opowiada o hotentotach. „Nie ulega wątpliwości, że uroczystościom (kiedy naturalnie ustaje rozłączenie płci) towarzyszy rozpusta, jakkolwiek Kolben z oburzeniem zwraca się przeciwko potwarcom swoich ukochanych hotentotów, który są niby najuczciwszym ludem pod słońcem. Zwłaszcza podczas uroczystości, zwanej świętem tańca garnkowego, ma panować w stosunkach pomiędzy płciami swoboda nieograniczona w ciągu dni kilku. Ludzie poważni, którzy lat wiele spędzili pomiędzy temi plemionami, zapewniali mnie, że tuziemcy mordują wszystkie dzieci, których poczęcie można z prawdopodobieństwem odnieść do tego dnia.“ Podobne obchody spotykamy w innych okolicach czarnego lądu.

Śród ludów tedy, żyjących w ograniczonym związku małżeńskim, spotykamy uroczystości peryodyczne, odznaczające się, jeżeli nie zawsze zupełnem rozpasaniem, tedy w każdym razie daleko idącą swobodą. Z wszelkiem prawdopodobieństwem możemy wnioskować, że tak samo bywało we wcześniejszych okresach bytu gromadzkiego. Człowiek zawsze zmuszony był żyć i przebywać w drobnych grupach, gdzie z konieczności panowały stosunki określone. Bezład zbiorowy ukazywał się jedynie wtedy, kiedy wiele grup okolicznych zgromadzało się pospołu. Otóż nastręcza się teraz pytanie, w jakich okolicznościach się to zdarzało. Wiele z tych obchodów przypada akurat na czas, kiedy ukończono żniwa a śpichlerze są pełne. Podobnie jeśli zwrócimy się do ludów niższych, znajdujemy ścisłą zależność pomiędzy zborami plemiennymi a obfitością pokarmów. „Skąpość pożywienia w tej okolicy — pisze Schoolkraft o czerwonoskórych z okolic jeziora Słonego — była przyczyną niemal zupełnego braku organizacyi społecznej pomiędzy mieszkańcami; zwykle niepodobna dostrzedz żadnego jej śladu z wyjątkiem czasu połowu łososia, kiedy wielka liczba Wężów (lud) zbiera się przy rzekach, zwłaszcza przy rybołówczych wodospadach.“ Otóż tylko wtedy ukazywały się związki bezładne. Zresztą już oddawna w antropologii kiełkuje inna myśl, wypowiadana mimochodem, będąca zresztą zbyt pospiesznem uogólnieniem faktów, które niekoniecznie pozwalają na tak krańcowy wniosek, które jednak w każdym razie są świadectwem w tym kierunku. „Na podobieństwo dzikich zwierząt — pisze Oldfield, lubiący mijać się z prawdą — australczyk posiada dla związków małżeńskich powien tylko czas w roku, mianowicie tę porę, którą natura sama wyznaczyła i wskazała obfitością żywności i łatwością dostania jej, jako też podniecającem działaniem temperatury. Splot tych warunków jest niezbędnym u ludzi i zwierząt, to też znajdujemy, że we wszystkich klimatach i czasach wiosna uchodzi za porę miłości. Około połowy wiosny, kiedy jam dojrzał, jaja zaś ptasie i inne źródła żywności są obfite, waczandzi poczynają myśleć o odbyciu swojej napół religijnej uroczystości, będącej przygotowaniem do ważnego obowiązku spłodzenia potomstwa.“ Johnston o bonakach kalifornijskich w pracy Schoolkrafta powiada, że „posiadają swoje okresy podobnie prawidłowo, jak łoś, jeleń, antylopa i inne zwierzęta.“ Kuliszer, później Westermarck, na podstawie tych świadectw oraz faktu, że większość saturnalij przypada na wiosnę itd., przechylają się stanowczo ku temu, że wśród ludzkości pierwotnej popęd płciowy działał peryodycznie tylko w pewnych porach roku. Ku temu wnioskowi skłaniają nas jeszcze inne względy, zgóry zrozumiałe dla każdego fizyologa. A zatem pierwotną hordę możemy sobie przedstawić w sposób następujący. Pewna ilość poblizkich grup drobnych zbiera się w pewnych okresach roku z pobudek fizyologicznych. Jest to chwila obcowania bezładnego, po którem ślady przechowały się liczniej, niż to wypływa ze szczupłej wiązanki faktów, przez nas przytoczonych. Po zaspokojeniu zbiorowisko rozchodzi się, przyczem z niego wydzielają się grupy, inaczej rozłożone. Mężczyzna z jednej przeszedł do innej, do której przyciągnęła go jakaś kobieta itd. Później, w miarę umysłowego rozwoju, kiedy jego czynniki zaczęły podniecać kobiete i po za chwilą podbudzenia fizyologicznego, powstawały w ten sposób ściślejsze związki małżeńskie. Może nigdzie nie przetrwała tak wyraźnie spuścizna po owej epoce, jak w dorocznym zwyczaju santalów, ludu górskiego w Indyach przedgangesowych. W styczniu przypada święto, zwane Bandana, a trwające przez sześć dni. Wszystkie osoby, znajdujące się w stanie wolnym, udają się do gajów, gdzie spędzają czas na zabawie i bezładnem obcowaniu. Po upływie święta powracają, już połączone w pary pojedyncze, pozostające odtąd sobie wiernemi. Sławny dzień św. Walentyny w Anglii jest może zwyczajem szczątkowym po obrzędzie podobnym. To samo znaczenie posiadał niemiecki *Lob-tanz*, zabroniony przez prawo 1551 r. Ze zwyczajów, zebranych przez Mannhardta, można nawet wynaleźć szczątkowe obrzędy „próbowania“ przez dziewczyny kilku mężczyzn. Rozumie się, jak wolno o tem sądzić z praktyk australskich i in., wydzielony ten związek ściślejszy ustawał podczas nowego zbiegowiska. Określone przeto stosunki małżeńskie były przeplatane przez obcowanie zbiorowe i istniały obok niego już od czasów najpierwotniejszych. Naturalnie odbiło się to w całym szeregu zwyczajów. Ilekroć, po za okresem zbiegowiska, spotkały się grupki drobne, przypominano zwyczaje, panujące podczas zborów, a ofiarowywanie żony gościowi u wielu ludów jest ostatniem ogniwem przeszłości dalekiej. Prawdopodobnie też, a nawet na pewno, w łonie samej grupy mogły istnieć stosunki zbiorowe stalsze, jeżeli znajdowała się w niej odpowiednia liczba osób, a ponieważ bracia trzymali się razem, związek przyjmował odpowiednią postać. Atoli wielkość pojedynczej gromady, częstość spotykania się z innemi i długość wspólnego przebywania, skład oddzielnej grupy, wszystko to są sprawy, zależne od ukształtowania stosunków zewnętrznych: obfitości i jakości pokarmu, warunków topograficznych okolicy. Są to rzeczy, w każdej okolicy przedstawiające się odmiennie. A więc już od najpierwszej chwili, stosownie do tych okoliczności zewnętrznych, wygląd związków małżeńskich, wyrastających ze zbiegowisk peryodycznych, musiał przedstawiać w każdej okolicy różną postać, posiadającą o tyle wspólne rysy, o ile one były następstwem owych zbiegowisk. Zwłaszcza w jednym wypadku oddziaływanie to było silne — co do dziewczyny. Wobec pierwotnego popędu peryodycznego stawała się ona żoną jedynie podczas sobótki, po której zbliżała się z jakimś jednym mężczyzną. Chociaż zwyczaj zmuszał ją i później do występowania podczas związków zbiorowych, jednak położenie jej nakładało pewne szranki. Tymczasem dziewczyna długo jeszcze wychodziła za mąż tylko podczas owego obchodu, a czyniła to w sposób, tak jaskrawo występujący u santalów. Z tego to źródła wypłynął zwyczaj, znany pod specyalną nazwą *jus primae noctis*.

Zresztą, winniśmy zaznaczyć, że najjaskrawszych faktów niepodobna nam było poruszać, chociaż one najwymowniej przemawiają. Istnieje dla nich specyalne wydawnictwo w ograniczonej liczbie egzemplarzy, znane tym, którzy zajmują się przedmiotem. W ostatnich czasach materyał krąży w rękopisach, które bezpośredni badacze, przeważnie anglicy, stale teraz wysyłają na ręce Tylora.

Lud. Krz.

ZWIERZĘTA WOBEC PRAWA I SĄDU.

II.

Wyjaśniając genezę i znaczenie kar na zwierzęta, Amira poprzedza własny pogląd

rysem historycznym, czyli, jak się wyraża, analogiami ze świata przedchrześciańskiego.

Najpierwotniejsze postanowienia tego rodzaju widzi w prawie Mojżeszowem. Pan przyrzekł Noemu i jego potomkom, że za przelaną krew ich będzie się mścił nietylko na ludziach, ale i na wszystkich zwierzętach. Przyrzeczeniu temu odpowiada dany na Synai przepis, orzekający, że wół, który zabodzie człowieka na śmierć, „powinien być ukamienowany, a mięsa jego spożywać nie wolno.

Według świadectwa Polibiusza, w koloniach fenickich praktykowało się krzyżowanie lwów. Lwy, które zbyt przybliżały się do siedzib ludzkich, miano tam przybijać do krzyża dla odstraszenia innych.

W jednej z ksiąg świętych u persów (Aweście) Zaratustra zapytuje Ahuramazdę, co ma się stać z psem, który ugryzie człowieka lub zwierzę, na co Ahuramazda odpowiada, że właściciel jego, o ile go nie pilnował należycie, ma być karany, jak za rozmyślne zabójstwo, psu zaś za pierwszym razem ma być odcięte prawe ucho, za drugim lewe, a z kolei — nogi i ogon.

Plutarch utrzymuje, że woły i świnie, które skosztowały przedmiotów przynoszonych na ofiarę, skazywane były na śmierć. Platon opowiada o wypadku, w którym człowiek zabity został przez zwierzę i w którym przeciwko temu ostatniemu wytoczono formalny proces. Krewni zabitego wystąpili przeciwko „zabójcy,“ a wyrok wydany i wykonany został przez właściwych urzędników policyjnych, a mianowicie zwierzę winne skazane na śmierć i wywiezione poza granice.

U ludów żyjących w stanie natury bardzo mało znajdujemy śladów kar na zwierzęta. Cytowany przez Amirę podróżnik Casati upowiada o jednem z czerwonoskórych plemion w Afryce środkowej, Niapii, jakoby praktykowały się u niego sądowne skazania tego rodzaju i dla ilustracyi przytacza następujący wypadek: kozioł, broniąc się przeciwko zaczepkom psa, śmiertelnie go zranił, wskutek czego sam został skazany na śmierć. Zarznięto go więc, a mięso jego zjedli dygnitarze, podczas gdy mięso psa dano do spożycia klasie niższej.

Dawniejsi pisarze francuscy kary świeckie na zwierzęta wywodzą z prawa Mojżeszowego, natomiast źródło ekskomunikacyj i właściwych procesów przeciwko zwierzętom widzą w demonologii średniowiecznej i zapatrywaniach na klątwę kościelną z tej epoki. Najbardziej stanowczo zdanie to postawił i najobszerniej je rozwinął L. Menabrea w rozprawie p. t. *De l'origine, de la forme et de l'esprit des jugements rendus au moyen âge contre les animaux* (1846). Obok tego Menabrea sądzi, że sprawy przeciwko zwierzętom miały także cel pedagogiczny.

Myśl tę podzielają Aleksander Sorel, D'Arbois de Jubainville i Lessona (włoch), ten ostatni z dodatkiem, że kary na zwierzęta są głównym wypływem policyjno-racyonalistycznego nadzoru państwowego.

W Niemczech, w pierwszych dziesięcioleciach po ukazaniu się badań Barriat-Saint-Prixa, mniemano, że źródła wszystkich kar i procesów przeciwko zwierzętom szukać należy w charakterze germańskiego i średniowiecznego prawa, które było wyłącznie systemem zemsty. Inny zwrot temu samemu poglądowi nadaje A. H. Post, który wszelkie dochodzenia karne przeciwko zwierzętom stara się sprowadzić do obojętności prawa pierwotnego względem rozmaitych rodzajów winy zwierzęcej i ludzkiej. Później nieco zaczęło w Niemczech przeważać zdanie J. Grimma o uosabianiu zwierzęcia. Na tę samą drogę we Francyi weszli Louandre, Ortoli i Lasossagne, pierwszy wskazując na średniowieczne pojęcie o duszy zwierzęcej w poezyi i sztuce, drugi zaznaczając przyjęte z czasów starogallijskich wyobrażenia o duszy tkwiącej w naturze i o wędrówkach duszy; trzeci, stwierdzając mniemaną równość, jaka pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem zachodziła w społeczeństwie pierwotnem. Niektórzy wreszcie porównywają postępowanie karne przeciwko zwierzętom z odrębnym procesem przeciwko niewolnikom, urzędowe tracenie zwierząt z takiemże traceniem niewolników, nie odrzucając bynajmniej wpływów biblijno-kościelnych, uważają za prawdopodobne, że myśl o karze na zwierzęciu opiera się na pojęciach aryjsko-religijnych.

W ostatecznym wywodzie Armira stawia trzy hypotezy.

W pierwszej przypuszcza możliwość, że średniowieczne kary na zwierzęta, łącznie ze słowiańskiemi z jednej strony, a greko-italskiemi i perskiemi z drugiej — pochodzą od jednego wspólnego typu aryjskiego. W drugiej — że wszelkie kary i sprawy przeciwko zwierzętom są wytworami samodzielnego rozwoju prawnego, odbywającego się w granicach pojedynczych grup narodowych. W trzeciej wreszcie przyjmuje, że ludy chrześciańskie mogły zapożyczyć wszystkie te przepisy z ustawodawstw obcych i z czasów dawno minionych, przyczem zwraca uwagę, że żadna z tych trzech możliwości bynajmniej nie wyklucza dwu pozostałych. Możnaby np. tłomaczyć sobie w ten sposób, że podstawą stały się zasady prawa pierwotnego, a po rozejściu się narodów wytworzyły się przepisy uzupełniające oraz że jeszcze później rezultaty tego rozwoju zakłócone zostały przez naleciałości obce.

Armira oświadcza się za trzecią z tych hypotez i wskazuje jako źródło zapożyczenia Stary Testament (Exodus XXI, 28), kreśli zarazem warunki, w których się przygotowywało owo zapożyczenie. Co do tych warunków, a raczej przygotowawczych zasad prawnych każdego kraju zosobna — dzieli je na dwie warstwy: starszą i młodszą. Pierwsza ustala sposób, w jaki przeciwko pewnym zwierzętom i z powodu pewnych występków zemsta prywatna ma być wykonywana. Należy tu prastary zwyczaj wieszania psa, który zabił człowieka— a następnie może starsze jeszcze, bo zarówno w prawie celtyckiem, jako i germańskiem objęte, przepisy, podług których drób i kozy, ujęte w szkodzie, natychmiast wedle ściśle określonych form powinny były być zabijane i okaleczone. Forma ta niejednokrotnie już jest parodyą tracenia człowieka. Toż samo i terminologia, nazywająca kij, w który się wciska szyjkę gęsią, „szubienicą.“ Warstwa młodsza odnosi się do konfiskaty zwierząd szkodliwych. Zwierzęta, które sprowadziły śmierć człowieka, nieraz zaś tylko go zraniły, przypadają w udziale władzy publicznej — królowi, sędziemu. Prawidło to głównie i naprzód wytworzyło się we Francyi i w Anglii. Znają je już dokładnie francuskie i angielskie zbiory ustaw z XIII w. Z Anglii przeszło ono do prawa szkockiego, później do Niemiec, Włoch i krajów południowo-słowiańskich.

Ekskomunikacya zwierząt nakoniec, zdaniem autora, nie jest niczem innem, jak maledykcyą, tj. modlitwą w formie zaklęcia. Zaklęcia tego rodzaju i czary stosowane były głównie względem zwierząt, o których, według pojęć pogańskich, wierzono, że mieszkają w nich dusze zmarłych albo demony. Należą tu: myszy, szczury, krety, węże, żółwie, owady, w niektórych okolicach i trzy główne zwierzęta z bajki: wilk, lis i niedźwiedź. Wszystkie te pojęcia są wypływem animizmu aryjskiego, a wyroki przeciwko zwierzętom są nie skazaniami tych ostatnich, lecz raczej czarodziejskiemi zaklęciami dusz ludzkich i demonicznych, co odpowiada znów znanemu nietylko w świecie klasycznym i słowiańskim wypędzaniu dusz.

Ad. J. Cohn.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Sewer, *W cieniu i w słońcu.*

Sewer nie należy do niepospolitych artystów, nie należy także do umysłów, chwytających i odczuwających ważne momenty życia społecznego. Nie jest on współszeregowcem licznego i wciąż potęgującego się zastępu ludzi, wybiegających ideałami i marzeniami w przyszłość, krytycznie pojmujących całą różnolitość współczesnej chwili przełomowej. Nie zagrzebał się jednak duchowo w zakątkach życia, nie nuci litanii gorzkich żalów i skarg filisterskich na teraźniejszość, nie pojmuje także i nie ogranicza zadania artysty do roli dostarczyciela nowych wrażeń, piewcy ideałów i cnót gawiedzi szlachecko - mieszczańskiej. Dostrzegamy w nim odczuwanie życia społecznego i dość sympatyi dla żywiołów nieuprzywilejowanych. Jego technika artystyczna przedstawia połączenie pierwiastków nowych, niedawno zdobytych na drodze rozwojowej i pierwiastków przebrzmiałej już przeszłości. Tok opowiadania bieży wartko, przedmiotowość wygórowana, wielkie poczucie kolorystyczne natury, z drugiej znów strony brak indywidualnego cieniowania postaci obrazowanych, ogólnikowa i rzutowa szkicowość w kreśleniu niektórych typów. Nawet najbardziej udatne postacie nie uwypuklają się należycie odrazu, tak, że czytelnik musi trafne i niekiedy głęboko podpatrzone znamiona ich procesu duchowego, ich charakteru sam bez autora jednoczyć i zespalać, iżby otrzymać typowy objaw natury ludzkiej. Właściwie dwa tylko obrazki: „Nad brzegami Rudawy“ i „Wiosna“ posiadają wartość nieprzygodną, niecodzienną, tworząc splot zjawisk, wydartych ręką artysty z wielobarwnego wątku życiowego. Zapoznają nas one z pewną sferą stosunków społecznych i wprowadzają do krętych i ruchliwych szlaków uczuciowości.

Ale wprzódy zastanowimy się nad innymi utworami zbiorku. „Pozytywizm w praktyce“ przenosi nas myślą w nastrój ubiegłego już okresu, zresztą pisany on był w 1882 r., jak o tem świadczy data, położona przez autora. Głównymi bohaterami są tu: wujcio, sybaryta, dla którego przyjemności i dostatek materyalny stanowią cel życia, mający siebie za idealistę, będący wyznawcą *teoryi* panowania uczuć nad rozumem i gromiący wciąż siostrzeńca — pozytywistę; jeden siostrzeniec, idealista, sentymentalny i czułostkowy błazen, zakochany w pannie bezposażnej, dający się jednak łatwo przekonać o nieracyonalności małżeństwa w takich warunkach, drugi — pozytywista-teoretyk rozmiłowujący się głęboko w porzuconej bogdance; panna Zofia, bardzo sympatyczna i rozumna dziewczyna przyjmująca teorye pozytywizmu bez jego zaciekłości i sekciarskich zapędów, nareszcie matka jej — szlachetna i zacna niewiasta idealistka starego kroju. Jest to, jak widzimy, szkic tendencyjny, jako dzieło sztuki posiada małą wartość, ratują go tylko krótkie, lecz treściwe i plastyczne obrazy natury.

„Pan Piotr“ także nie jest utworem artystycznym: opisuje on oddanie się majętnego parweniusza dla rodziny arystokratycznej za obiecaną nagrodę — rękę dalekiej kuzynki, starzejącej się i brzydkiej panny. Treść „Nad brzegami Rudawy“ jest bardzo bogata, rozpiera ona nawet szczupłe ramy obrazka. Widzimy całą rodzinę żydowską na tle bytu wioski chłopskiej, stosunek jej do chłopów, jej walki i ideały. Stanowisko autora przedmiotowe, zarówno wolne od kramikarskiego zacietrzewienia antisemickiego, jak i czułostkowej ludowo-

ści. Widzimy tu, jak często żądza wyniesienia się osobistego, zdobycia majątku i stanowiska jest właściwie równoznacznikiem i odpowiednikiem uczuć protestu i odrazy do trzęsawiska moralnego i śmietnika życiowego, w których umieszcza jednostki ślepy przypadek losu. Poczucie potrzeb kulturalnych, szersze pragnienie, rozbudzony indywidualizm — czynniki takie mogą prowadzić człowieka rozmaitemi drogami i do różnorodnych celów. Uprzednio wszyscy tacy aspiranci do wyższych szczebków stawali się albo gorliwymi uczestnikami i spożywcami dóbr materyalnych cywilizacyi mieszczańskiej, albo też jej rzecznikami ideologicznymi; obecnie nierzadko z łona tej kategoryi wykwitają ofiarnicy i bojownicy nowych haseł, nowych dążeń. Zyzma, kilkonastoletni wyrostek żydowski, czytał chciwie niemieckie i polskie gazety stare, któremi handel stanowił cząstkę jego operacyj finansowych; nadmienić wypada, iż skończył on szkółkę ludową, a ojciec jego, niegdyś zamożny kupiec lwowski, był stanowczym wrogiem husytyzmu, odumarł go jednak wcześnie. Zyzma był „rozmarzony wyczytanemi, a dziwnie poplatanemi ideami, walkami opinii, zamknięty w sobie, pełen pragnień nieokreślonej wolności, człowieczeństwa, cywilizacyi i nareszcie nieugaszonej ciekawości.“ Toczył on ustawiczne walki z macochą, nienawidzącą go głęboko; dom dlań był piekłem, wcześnie zaczął handlować na własną rękę, kupczył skórkami, kośćmi, łatał chłopskie kożuchy, na jarmarkach był przysięgłym, wpisanym do korporacyi faktorem końskim, wypożyczał pieniądze chłopom, zadowolony, iż pobiera od nich mniejszy procent, niż lichwiarz chłop, Bartek Czarnik, nienasycona a głupia jednak pijawka. Zyzma pokochał kilkunastoletnią dziewczynę chrześciańską, oddawał jej małe przysługi, a nawet pożyczył matce bezinteresownie kilkanaście rubli. „Pieniądze miały mu dać wolność, szacunek, przyszłość pełną uśmiechów szczęścia... Czyż możemy się dziwić, że pragnął je mieć i pracował na nie ciężko?“ Przejawy podobne, mianowicie dążenia do wiedzy i wyższego poziomu cywilizacyi ujmował parokrotnie w utworach swych utalentowany nowelista krakowski, Wilh. Feldman. Macocha Zyzmy, Sara — to kobieta energiczna, przedsiębiorcza, miłująca głęboko swe dzieci, dzięki ruchliwości a także umiejętnemu wyzyskiwaniu nadarzających się okoliczności, doszła do posiadania małego funduszu, który wypożyczała chłopom i ona szczyciła się tem, iż kredyt jej był znacznie mniej uciążliwy, niż wspomnianego Bartka Czarnika.

„Nad brzegami Rudawy“ to jeden z lepszych naszych utworów bieżącej doby, szkoda, że psuje go melodramatyczne rozwiązanie.

Bardzo jest sympatyczny i realny w osnowie swej obrazek „Wiosna“; maluje on powrót w rodzinie strony wiejskiej dziewczyny z miasta, gdzie była służącą. Nie jest ona żadną bohaterką przodownicą lub uczestniczką dążeń zbiorowych, a jednak pragniemy, iżby o ile można więcej dusz przechodziło przez takie stany uczuciowe. W tem właśnie spoczywa zasługa Sewera, że potrafił za pomocą małych środków rozbudzić u nas zrozumienie dodatnich promyków uczuciowości. Kartka przedstawiająca prostą dziewczynę, radującą się szczerze, że przestała już być sprzętem żywym w cudzem gospodarstwie i poczuwającą się do praw człowieka, chociaż w małym zakresie, jest dodatnim czynnikiem w sprawie kształtowania się uczuć społecznych.

Br. Ch.

TEATR.

Marco Praga. *Te panny*, komedya w 4 aktach, tłomaczona z włoskiego.

„Te panny“ przesunęły się na naszej scenie już niezliczoną ilość razy. Widzieliśmy je bądź przesadzone z gruntu obcego, bądź we własnej hodowli. Kto ich nie zna? Dla młodzieży stanowią one rozrywkę, nieco ostrzejszą przyprawę do smacznej zakąski przed mdłą i ciężką ucztą salonową w towarzystwie, skrępowanem przepisami zwyczajowymi. „Te panny“ są miłe, wesołe, a nawet — niewinne, noszą kwiaty pomarańczowe, z których wolno temu lub owemu uszczknąć listek mały, lecz niemożna łatwo zerwać bukietu całego. Cnota jest otaksowana należycie i skoro się dobry kupiec zjawi, może być sprzedana, ale tylko bardzo korzystnie. Niema poszlak, ani powodów do podejrzeń zanadto jaskrawych; panien takich nieceremonialnych w obcowaniu z mężczyznami nikt na gorącym uczynku nie złapał. Ale na związek małżeński trudno znaleźć ochotnika. „Cóżby świat powiedział“? Lepiej więc rzecz lekko traktować, tańczyć, przyjmować, panienki na obiadki kawalerskie, zawsze jednak z mamą, niż dawać im powód do jakichś poważniejszych roszczeń.

W rzuconym pobieżnie, na tle realistycznem, obrazie Pragi widzimy dwie panny żywe, wesołe i jedną smutną, zagadkową. Matka ich chętnie przyjmuje nie tylko tłumy młodzieży, ale i podarunki w postaci prowiantów, lub innych błahostek, córki zaś nie gardzą także upominkami, a nawet sakiewkami z monetą. Dzięki temu w domu widoczny jest dostatek żadnych trosk, żadnych zabiegów o środki życiowe. Kosztem wielbicieli trzpiotowatej Nini i cynicznie wesołej Seleny, życie gładko płynie. Jedna tylko z sióstr wyróżnia się swym smutkiem i skromnością — Paulina, najstarsza. Boleje ona nad lekkością dwóch młodszych i bezczelnością swej matki. Skąd ten kwiatek ponury i stulony wyrósł na bagnisku? Zgraja młodzieży pomija go i niema chęci do zerwania. Jeden tylko się znalazł poszukiwacz czystości śród brudów, który aż z Berlina przybył do Medyolanu. Szlachetny Dario pokochał Paulinę i chce ją wyrwać z atmosfery niezdrowej. Niestety, kwiatek ów, pociągający swą skromnością i szlachetnością, stracił niewinność od dawna, może mimowoli, nieświadomie. Stary przyjaciel matki, kolega ojca, skorzystał z niedoświadczenia siedemnastoletniej panny, która w okresie zupełnego rozkwitu stała się pokutnicą, rehabilitującą swój błąd cierpieniem moralnem i wyrzekaniem się szczęścia, które jej w postaci związku małżeńskiego chce ofiarować Dario. Zbytnia drażliwość ofiary starego donżuana przyczynia się do ujawnienia smutnej prawdy, przesądy zaś światowe i względy towarzyskie każą kochankowi wyrzec się szczęścia małżeńskiego. Nie przeszkadza to mu jednak zaproponować ukochanej związku luźnego, któryby dał ujście porywom sercowym i ochronił go jednocześnie od śmieszności wobec świata. Tę zniewagę Paulina musi jeszcze przyjąć na swą głowę, po to, ażeby zwiększyć pokutę za upadek. Zasłona spada w chwili, gdy oboje złamani rozpaczą rozchodzą się na zawsze, nawet bez ostatniego uściśnienia ręki. Taka jest główna nić tego kłębka, toczącego się po płaszczyźnie pospolitych poziomych objawów życia. W krótkich odstępach czasu scena obdarza nas dwiema pokrewnemi postaciami: Nauczycielką Czerw i — Pauliną. W porównaniu tem wszakże korzystniej się przedstawia pierwsza. O wiele pełniejsza w zarysach zewnętrznych i obrazie duchowym, przynajmniej zjednywa prawdziwe, głębokie współczucie widza, staje przed nim jako szczera pokutnica, hojnie za swe cierpienia nagrodzona przez śmiałka, idącego z czołem podniesionem na pociski opinii publicznej. Marco Praga, jak wielu innych przed nim autorów, nie jest zwolennikiem rehabilitowania kobiet upadłych; swoją bohaterkę obdarza tylko zbytnią drażliwością, która możeby się dała stłumić z czasem w tajemnicy przed kochankiem, gdyby się naraz nie nasunął stary winowajca i w swej ofierze nie rozniecił zbyt silnie wyrzutów sumienia. Kto wie, gdyby nie była uwiedzioną, gdyby się przytem nie zjawił człowiek, który zdołał w niej rozbudzić głębsze i trwalsze uczucia, możeby nie miała sposobności do oceniania postępków swych sióstr i matki; tylko nieco chłodniej, dopisywałaby im w motylkowaniu i rozdawaniu kwiatu pomarańczowego.

W akcie pierwszym scena przepełniona jest mnóstwem figur, kręcących się i tańczących, wprowadzonych tylko epizodycznie i niemo dla scharakteryzowania domu „ptaków niebieskich.“ W drugim widzimy już znacznie mniej osób, ale i te przeważnie szkicowe, niewyraźne. Cantoni kręci się tylko po to, żeby od czasu do czasu zrobić kilka uwag o tem otoczeniu, wśród którego znalazł się mimowoli, lub cierpliwie wysłuchać morałów, od czasu do czasu wypawiadanych przez autora ustami Olgiatiego. Pomimo wielu figur, akcya dość monotonna, wyznania miłosne za długie i nużące. Autor sam zapewne czuje, że jego szkic realistyczny miejscami nie jest zbyt wyrazisty, więc go dość często objaśnia, tu i owdzie morał wtrąca i to przez usta człowieka, który nic nie ma przeciwko takiemu prowadzeniu się córek i pobłażliwości mamy; przeciwnie — sam chętnie się bawi i przy pomocy jednej z „tych panien“ mile urozmaica, chociaż miłostkami platonicznemi, program życia codziennego. Komedya staje się pod koniec nawpół dramatem w szkicowem traktowaniu. Tłomaczenie sztuki jest chropawe, z zaniedbaniem stylistycznem.

Z przyjmujących udział w widowisku artystów tym razem największą uwagę zwraca p. Noiretówna w roli Pauliny. Dawno nie widzieliśmy tej artystki na scenie, ale też oddawna nie pamiętamy jej gry tak doskonałej i szczerej. Panna Czakówna z właściwą sobie swobodą i życiem odegrała rolę pustej, lekkiej i spoufalonej z mężczyznami Nini. Za to p. Leszczyńska więcej przypominała, zarówno z głosu, jak i ruchów, Kaśkę mazowiecką, niż cyniczną i zanadto nieceremonialną Selenę z pod włoskiego nieba. P. Rapacki wybornie, ale nieco przesadnie w ucharakteryzowaniu, odtworzył postać Markiza Zoppi, skretyniałego i zużytego bogacza, który po dwukrotnem owdowieniu chce znaleźć sobie trzecią towarzyszkę, ale bez więzów małżeńskich. P. Frenkiel jako bogaty malarz Olgiati, trochę rezoner i uprawiacz miłostek, dowiódł, że się umie wywiązać sumiennie z roli pomimo zadania niezgodnego z rodzajem jego talentu. P. Nowicki (Dario) wyraźnie zaakcentował uczucie i rozpacz po stracie i rozczarowaniu. Wreszcie zasługuje na uwagę gra p. Prażmowskiego (Cantoni) w bladej roli świadka scen różnorodnych i słuchacza uwag swego przyjaciela. Rolę mamy, spekulującej na córkach, z humorem odtworzyła p. Borkowska, niezmordowana i nie schodząca w ostatnich czasach ze sceny.

Zenon Pietkiewicz.

ŚRÓD MUZ.

Obrazy Władysława Podkowińskiego.

Malarz, którego płótna są od pewnego czasu magnesem dla szumnych pochwał i cholerycznych (trudno je nazwać homerycznemi) drwin, zapragnął snadź raz nareszcie dowiedzieć się, co ma trzymać o se-

bie i w tym celu pewnie urządził wystawę swych dzieł. Nie sądzimy bowiem, ażeby czynił to dla zasilenia kieszeni, wobec znanego bogactwa naszej drużyny Apellesa.

Ogólne wrażenie, jakie z niej wynosimy, jest również niejednolite, jak dotychczasowa Podkowińskiego twórczość. Nie można zostawać obojętnym na widok jego portretów, w których kilkoma machnięciami pędzla osiąga dobitny wyraz i rzetelny charakter. Uderza w nich wielka pewność ręki i lakoniczność roboty, a także wybór momentu, w którym niema nic pospolitego i utartego. Są to chwile, najbardziej dla danego widza znamienne, pochwycone w lot okiem bystrem i wydoskonalonem w szkole dobrego smaku. Taki np. Wizerunek, całkiem szkicowy, p. Miłosza Kotarbińskiego, pociąga po prostu swą lekkością i artystycznem zacięciem. Coraz więcej przekonywamy się, że figury są tego pędzla stroną najsilniejszą, w nich bowiem znajduje on najwdzięczniejsze pole dla wybornego rysunku i naturalnej a jednocześnie i wytwornej pozy. Może to zasługa i wina salonowego życia „naszej kochanej Warszawy," jak zwykły mówić *Kuryery* i przeważnego poddawania się wpływom sfery i towarzystwa, ale to pewna, że ilekroć malarz ten obiera temat inny, staje się dziwnie nierównym, chwiejnym.

Z cyklu krajobrazów, które rozwiesił teraz na ścianach Zachęty, najlepszym niewątpliwie jest ten, który wyobraża spotkanie na drodze śród pól. Bo choć tu i pejzażowi nie brak powietrza, ale z pewnością część swego powabu zawdzięcza ładnym, za ładnym kolorkom, gdy tymczasem sama grupa osób łączy wszystkie znane nam zalety: prawdę, poczucie estetyczne, ożywienie ruchów i twarzy. Widnieje tu nadto dobry akord wyrazów, który sprawia, że treść tłomaczy się jasno. Z całości wyziera też pełne, miłe i oczywiście odczute tchnienie wsi i lata. Tony są czyste i silne, a ogólna kombinacya plam niezwykle efektowna.

Mniej już uwagi zwraca na siebie skrawek wody z krowami, pasącemi się w nadbrzeżnej trawie, choć i tu drga natura ładna, żywa i świeża. Toż samo powiedzieć się da o ogrodzie z domem wiejskim, przed którym stoi dziewczynka, znowu wyborna w postawie i rysunku. Otaczająca ją bujna i rozkrzewiona zieleń ma w sobie żywioł.

Nie wymieniamy po szczególe innych płócien, choć się między niemi znajdzie niejedno dobre, a całkiem słabych bardzo mało. Najmniej się nam podobają te, w których artysta koniecznie chciał dowieść, że temat, motyw wart niewiele więcej nad figę marynowaną, a cała wartość polega na wykonaniu. Podkowiński jest malarzem najnowszego stempla i ma zupełne prawo a nawet obowiązek unikać ckliwych pejzażów niemieckich, w których mieści się nieraz cały inwentarz żywy i martwy i występują jednocześnie wszystkie sentymenty ludzkie, ptasie i czworonogie. Ale co jest dobrem i zbawiennem w zasadzie, która ma na celu słuszne przeciwdziałanie podłemu smakowi albo wierze, iż bez fabuły nie masz obrazu, to w praktyce bardzo często zawodzi. Powtórzę w tem miejscu, co powiedziałem kiedyś, z powodu partyj leśnych Chełmońskiego, że skrawki natury bez określonego wyrazu lub nastroju mogą jedynie wtedy działać na widza i wywoływać coś w rodzaju wrażenia estetycznego, jeśli są nacechowane szczególnem mistrzowstwem wykonania. Wtedy podbija nas swą powagą ścisła prawda i wtedy wyłania się może indywidualność dodatnia artysty. Bo gdzie porywającej *trafności, szczerego* impresyonizmu nie masz i gdzie wyłażą na wierzch tylko ujemne czynniki indywiduum, jako to: pośpiech, szybkość roboty, szkicowość, fantazya, szyk, tak dziś właściwy *wszystkim* artystom lepszego kierunku, tam na pewno widz zostanie zimnym, obojętnym i domyślać się będzie, że malarz ukrył w swem płótnie jakiegoś niewidzialnego kota, jakiś „witz," ale go ukrył tak szczelnie, że go sam nie znajdzie.

Zresztą niech nawet malowane gromy padają na mą głowę, a wyznać muszę otwarcie, iż zgoła w powodzenie motywów jałowych, suchych nie wierzę. Korzę się przed prostotą, bom się tysiąc razy przekonał, iż ona pomaga koncentracyi, skupieniu zasadniczego motywu, że mu nadaje jasność i jedność, jak czysty, pogodny błękit wieczornego nieba potęguje blask i wyraz tarczy księżycowej. Ale prostota posunięta do beztreści, do pustki, wygląda mi jak kolorowana doktrynka polemiczna. Przyroda bez nastroju, bez subtelnego, w dobrym gatunku sentymentu, jest jak człowiek bez swojego ja, jak ów ni to gorący, ni to zimny, lecz letni i którego chce się i trzeba wypluć. Czas już najwyższy zaniechać samogwałtu i gwałtu nad ogólną naturą ludzką, która eksperymenta optyczne woli zostawiać fizykom, a sama w sztuce i malarstwie łaknie *duszy*. Nie idei—tylko duszy.

To boksowanie się w naszych sfrancuziałych a udających wyjątkową swojskość obrońców bezducha, z wszelkim pierwiastkiem poezyi, powinno było już przecie obrzydnąć ludziom poważnym, bo jest ono resztką akademickiej swawoli i niczem więcej. Na wszystkich znanych turniejach palma pierwszeństwa przyznaną była obrazom, zawierającym obok prawdy botanicznej lub meteorologicznej jakieś tętno głębsze, przemawiające do serca, mimo że sąd wszędzie prawie składał się z malarzów wyłącznie. Bo zbiorowe ciało artystów pojmuje zawsze sztukę dojrzalej i pełniej. Cała bieda, że o ile dobrze umieją oni sądzić, o tyle kiepsko się wysławiają i tłomaczą, źle objaśniają malowidła i niedołężnie motywują wyroki, a taka płytka lub naiwna definicya sprowadza młodzież na manowce. Literaci doszli już dawno do sprostowania grubego błędu, jakoby np. Zola był realistą, a Ibsen psychologiem, malarze zaś ubrdawszy sobie raz, że przedmiotowym był Rembrandt, przedmiotowym Meissonier, Millet lub Gierymski, póty nie rzucą fałszywego godła, póki nie uczują jego skutków na własnej materyalnej skórze albo na własnej sławie. To trudno—instynkt i potrzeby estetyczne wykształconego człowieka są silniejsze nad wytrwałość lub upór sekciarzy.

Nie wysyłamy tego wszystkiego pod adresem artysty, który nas w tej chwili zajmuje, ale z powodu jego niektórych rzeczy, spokrewnionych rodzajem z wieloma obrazami innego pochodzenia.

Podkowiński zresztą sam łatwo wpada w drugą skrajność. Ostateczność to ogromna, bo zakrywa całą ścianę i narobiła w prasie i w kółkach domorosłych oleodrukowych znawców wiele hałasu. Ma ona nawet określony tytuł: „Taniec szkieletów." Po za kilkoma drwiącymi konceptami, które żywo przypominają zdechłe cielę, machające ogonem, większość sprawozdawców wysadziła się na nieprzytomne pochwały. Gdyby chociaż tak — nic, ich nalożałoby dopiero wysadzić, a może przestaliby wprowadzać zamęt. I tak już dosyć jest nieporozumienia w samym artyście. Zapragnął on przedstawić kształtami i barwą fantazyę, która pod piórem poety, w ustach legendy lub symfonii muzycznej (Saint Saëns) czaruje i zgrozą przenika. Stanowi ona temat najwdzięczniejszy dla umysłu romantycznego, ale zarazem i trudność ogromną dla naszych trzeźwych i wyszkolonych w *plein air'ze* zmysłów. Kościotrupy p. Podkowińskiego mają należyte rozmach wściekłej orgii, gdy wziąwszy się za ręce z dziewicami, tańczą w powietrzu taniec rodem z piekła. Łamią się oni i przewracają, i wirują w dzikim korowodzie, nad jakimś ogniem ziejącym Brockenem, po którym pędzą z dołu, z pod ziemi inne szkielety. Coś niby łuna niezgasłego zachodu bije z krańca widnokręgu i oświetla fantastyczne postacie. Ale niewiadomo, dlaczego refleksy żółte padają na tę stronę figur, która się zwraca ku widzowi. Wogóle światłocień nie ma tu logiki, bez której nawet urojenie na płótnie obejść się nie może. Ale mniejsza o to; niechaj będzie, że i w powietrzu są tam samoistne źródła światła, płomyki, fosforescencye itp. Kwitujemy zupełnie z prawdopodobieństwa, byleby tkwił w obrazie nerw halucynacyi i chaos baśni, tego zaś p. Podkowińskiemu żadną miarą odmówić nie można.

Ale sama siła i wypukłość urojenia mało znaczy, jeśli w niem brakuje liryki, grozy, dramatu, bo w tego rodzaju obrazach malarstwo jawnie rywalizuje z muzyką i wzruszającą lub wstrząsającą poezyą. Otóż oczekiwanego wrażenia ta *Danse macabre* nie sprawia bynajmniej. Pomijamy już okoliczność, że nie ma tam owego genialnego kontrastu posępnej tragedyi z elegią i miękim smutkiem — i że uderza nas tylko jeden akcent — rozwichrzenia. Lecz i to ostatnie traktowane jest na zimno i żywiej widza nie porusza. Piękne ciała niewiast, dziwnie rysowane dla niezwykłości póz i nader wypukłe, nie mówią nic, nie łączą się z osnową, choć do łańcucha barcujących pozornie należą. Są to pulchne, zielonawe ciała bez głów, a w każdym razie bez twarzy. Jedna nawet przewraca kozła, porwana kleszczami swoich tancerzów, ale to znów kunsztsztyk malarski, który rodzi w widzu dziwną chęć ustawienia się na głowie, ażeby mógł widzieć i zrozumieć całą postać. Artysta zapomniał, jak sądzimy, o bardzo ważnym względzie, a mianowicie, że kupą systemów kostnych niewiele można na płótnie wyrazić. Szkielet to przedewszystkiem — dziury, a cóż porządnego da się z dziur zrobić? Prawda, szkielet to także plątanina linij, ale przecież niepodobna taką siatką pokrywać najpiękniejszego bodaj tła? P. Podkowiński może zresztą i zdawał sobie sprawę z tego faktu, skoro do tańca zaprosił tylko parę nieboszczyków, a resztę umieścił nad nimi i pod nimi, w zmieszanych bezładnie gromadach kościotrupów, ale to nie mogło uczynić przedmiotu podatniejszym dla ekspresyi. Pozostała ona, bądź co bądź, słabą i stanowczo nie opłaciła nakładu pracy i studyów anatomicznych, bez których oddanie wyszukanych pozycyj byłoby wprost niemożliwem.

Koniec końców — wrażenie jest słabe i różnolite. Ma się przed sobą malarza wybitnych zdolności, który nie wyszedł jeszcze z okresu prób i szamotań, który ma prawdziwy i dużej miary temperament, ale nie potrafi ująć go w łożysko. Jest samodzielny, indywidualny, ale zanadto się rwie i zbytnio za oryginalnością goni. Uprawia sztukę poważnie, bo z odpowiednią i niezbędną w naszem otoczeniu stylowo-warszawskich guścików „nonszalancyą," ale jeszcze nie na tyle poważnie, ażeby mógł być wolnym od pokusy zdumienia świata jednym zamachem...

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PAMIĘTNIK.

Pożądany śnieg.

Od kilku dni pada w całym kraju obfity śnieg. Nie jest to tylko urozmaicenie zimy i zapewnienie przyjemności zwolennikom sanny, ale jest to niezmiernie ważny fakt gospodarczy. Skutkiem skwarnego lata i suchej jesieni wody zaskórne obniżyły się wszędzie do niebywałej głębokości, a w wielu miejscach, pozbawionych źródlisk, dotąd studnie są puste. Gdzie nieopodal płyną rzeki, tam brak wody mniej dokucza lu-

dziom i zwierzętom; ale gdzie ich niema, co zdarza się najczęściej, tam położenie jest nader krytyczne. Gdyby zaś zima obecna, jak zeszłoroczna, miała być bezśnieżna, zasiewom i drzewom owocowym groziłaby klęska. Prawdopodobne zatem podniesienie się wód zaskórnych skutkiem znacznego opadu śniegu jest nader pożądane. Pragną go również wyznawcy pewnej hipotezy, przypuszczającej zależność między nizkim poziomem tych wód a szerzeniem się cholery; ale już to pomijamy, gdyż związek owych dwu zjawisk nie został należycie stwierdzony. Same potrzeby i interesy gospodarcze mają tu dostateczną wagę.

Sprzedaż drzewek.

Warunki licytacyi drzewek, urządzonej przez Towarzystwo ogrodnicze, okazały się daleko gorsze, niż przypuszczaliśmy. Cały bowiem przeszło dziesięciotysięczny ich zapas podzielono tylko na *cztery* partye, tak, że nabywca musiał zapłacić od 100 do 300 rs., nie wiedząc, co kupuje i kiedy otrzyma. Nie dziw też, że stanęło tylko dwu licytantów: p. E. Jankowski, który mógł nabyć jedną partyę, mając drzewka na swoim gruncie i nie potrzebując ich przewozić, oraz p. Chwalibóg, który znowu mógł wydać kilkaset rubli na drugą. Dwie inne pozostały. Pomijamy tu gorszącą i dla Towarzystwa *ogrodniczego* charakterystyczną okoliczność, że śród tych drzewek były przeważnie gatunki liche, a w niektórych partyach na parę tysięcy sztuk spis nie wykazywał *ani jednej* np. „dobrej“ gruszki; co wszakże powiedzieć o instytucyi, mającej szerzyć zamiłowanie do ogrodownictwa w naszym kraju, która posiadając 10,000 szczepek, wyprzedaje je hurtem i samymi warunkami licytacyi zupełnie wyłącza od niej hodowców drobnych? Czy w „zebraniu ogólnem,“ które uchwaliło taką skandaliczną niedorzeczność, nie znalazł się ani jeden głos, któryby przeciw niej zaprotestował? Trudno uwierzyć, a zarazem trudno pojąć, na co się zdały wszystkie pogadanki i wykłady p. Jankowskiego, jeśli jego słuchacze raz tylko mieli sposobność kupić od Towarzystwa cztery partye drzewek po... parę tysięcy sztuk. Gdyby też który z nich zaproponował: kochane Towarzystwo, mam we wsi czterech chłopów, którzy chcieliby sobie założyć małe ogródki; sprzedajcie im po 10 jabłek, gruszek i śliwek — zapewne odpowiedzianoby mu: poradź pan tym chłopom, ażeby nabyli cztery partye i zapłacili 1,000 rs. To się nazywa „szerzyć zamiłowanie do ogrodownictwa w kraju“ i ubolewać, że za granicą każdy dom wiejski jest otoczony sadkiem. Oj, co z nas będzie przy takiem postępowaniu! *O.*

Nemezys reklamy.

Przez kilka tygodni z rzędu kilka pism warszawskich, a zwłaszcza jeden z *Kuryerów* urządzał formalną naganę na korzyść dziennikarza, który odkrywszy w sobie fenomenalny głos, postanowił wystąpić z własnym koncertem i tą drogą zebrać sobie fundusz dla dalszego kształcenia się. Opowiadano cuda o jego gardle, tonach, brzmieniu, wysokich i nizkich nutach, drażniąc przytem — jak zwykle — naiwność ciekawych obietnicą „niespodzianek.“ Naganka osiągnęła zamierzony skutek i przepełniła salę słuchaczami. Nareszcie wychodzi koncertant i... wprawia ich w rzeczywiste zdumienie. Była to dla nich istotna, chociaż nieoczekiwana niespodzianka. Rzucamy na nią zasłonę, tem bardziej, że nieszczęśliwy śpiewak odpokutował natychmiast za swą śmiałość, spostrzegłszy wokoło straszne rozczarowanie, że więc śmiech szyderczy byłby już dziś okrutnem znęcaniem się. Kilka słów prawdy wszakże należy się tym, którzy go wprowadzili na estradę i poprzedzili fanfarą. Przedewszystkiem nauczyciel debiutanta zgrzeszył taką lekkomyślnością względem niego i świadków jego niepowodzenia, że powinien za nie ponieść główną naganę. Powtóre, trębacze, którzy spotęgowawszy oczekiwanie, powiększyli zawód, powinni wyciągnąć z tego wypadku naukę, że przesadna chwalba nie zawsze jest najlepszą przysługą i że mściwa Nemezys umie również z bohaterów reklamy czynić jej ofiary. Reklama jest nietylko przyjaciółką złą, ale niewierną, opuszcza bowiem sromotnie swoich wybrańców w chwili, gdy dźwignięci jej rękami upadną. Tak postąpiła z owym śpiewającym dziennikarzem: gdy się skompromitował, nie probowała go nawet bronić, usprawiedliwiać, lecz porzuciła na pastwę pośmiewiska. Ten, który miał według niej świat zadziwić swym głosem, nazajutrz po niefortunnym występie był dla niej tak nieznanym, jak gdyby wcale nie istniał i nawet przyjacielskim redakcyom nie nucił „wlazł kotek na płotek.“ Zdala więc łatwowierni chłopcy od tej Świtezianki.

Podatek od mieszkań.

Zamierzony pierwotnie podatek dochodowy został — jak się zdaje — zaniechany. Natomiast według gazet ruskich wprowadzony być ma niezawodnie podatek od mieszkań. *Petersb. Wiedomosti* już nawet podają główne zasady tych opłat. Będą im podlegali: od mieszkań wynajętych — ich lokatorowie główni; od bezpłatnych — osoby, korzystające z lokalu; od zajętych przez gospodarzów — ci ostatni; od przeznaczonych na hotele, pokoje umeblowane itp. — osoby, utrzymujące zakład. Od podatku uwolnione będą: pałace i inne gmachy, zajmowane przez Członków Domu Cesarskiego, szpitale i lecznice, instytucye naukowe i szkoły wraz z internatami, ochrony, przytułki i wszelkie zakłady dobroczynne; budynki wojskowe; zakłady handlowe i przemysłowe w tych częściach, które nie służą jako lokale mieszkalne, wreszcie mieszkania robotnicze przy fabrykach i przytułki noclegowe. Nadto zostaną uwolnieni od podatku: zakonnicy wyznań chrześciańskich, członkowie misyj dyplomatycznych państw zagranicznych oraz konsulowie zagraniczni, pozostający w poddaństwie tego państwa, które ich mianowało na dane stanowisko.

Za podstawę do obliczania wysokości podatku wzięty będzie czynsz roczny, opłacany za mieszkanie wraz z wszelkimi dodatkami, z potrąceniem kosztów opału. Pod tym względem oddzielne pozycye podatku dzielą się na klasy, a te znów na kategorye. Do I-ej klasy należą: Petersburg, Moskwa i Warszawa; do II-ej — Wilno, Gatczyna, Kazań, Kiszyniew, Kijów, Kronsztad, Łódź, Niżni Nowogród, Odesa, Ryga, Saratów i Charków; do III-ej — niewielkie miasta gubernialne i znaczniejsze powiatowe; do IV-ej—niektóre miasta gubernialne w Królestwie Polskiem oraz powiatowe; do V-ej małe miasta powiatowe.

Pierwsza klasa zawiera 35 kategoryj komornego od 240 rs. rocznie do 6,000 rs.; podatek rozpoczyna się od 5 rs., a kończy na 600, tj. 10% ceny najwyższego komornego. W drugiej klasie mieści się 36 kategoryj komornego od 180 do 4,500 rs., odpowiedni zaś podatek wynosi od 3 rs. 50 kop. do 10% czynszu.

W trzeciej klasie mieści się 27 kategoryj od 120—3,000 rs.; w czwartej 29 kategoryj od 96—2,400 rs.; w piątej od 48—1,200 rs. Na zasadzie deklaracyi osób, mających przy sobie więcej niż czterech członków rodziny i zajmujących mieszkania wartości: w I-ej klasie do 2,000 rs., w II-ej do 1,500 rs., w III-ej do 1,200 rs., w IV-ej do 1,000 rs. i w V-ej do 800 rs., obliczanie podatku odbywa się nie od całego, lecz od $^2/_3$ czynszu rocznego. Od kilku mieszkań, zajmowanych przez jedną osobę w tym samym domu, podatek pobiera się w stosunku sumy komornego, opłacanego od mieszkań oddzielnych, chociażby one nie podpadały opłacie.

Komorne od mieszkań, zajmowanych przez właścicieli domów lub ich rodziny, obliczano być winno według przyjętej normy w tym samym domu. Wartość mieszkań, wynajętych w gmachach pałacowych, skarbowych i najętych przez skarb dla urzędników lub wojskowych, oblicza się według normy dodatków do pensyj danych osób na mieszkanie. W tych wypadkach, kiedy etat nie wymienia wysokości dodatku na mieszkanie, wartość lokalu przyjmuje się jako równa $^1/_3$ etatu.

Chociażby nie wszystkie szczegóły były w tem doniesieniu dokładne, niewątpliwie w głównych rysach musi ono być prawdziwe.

Sztuki kasowe.

„Jeden z wielu“ wystąpił w *Kuryerze warszawskim* z obroną publiczności teatralnej, obrażanej stale używanem w prasie wyrażeniem, które pewnym utworom scenicznym nadaje tylko wartość „sztuk kasowych,“ czyli podobających się jedynie tłumowi. Wszakże ta publiczność — powiada ów obrońca — składa się z adwokatów, lekarzów, studentów, wogóle ludzi ukształconych, którzy wiele widzieli, czytali, myśleli, a nieraz swym sądem przewyższają urzędowych krytyków. Wszystko to prawda, a jednakże wyrażenie jest słuszne. Bo naprzód jaki procent tej inteligencyi stanowią umysły głębsze i krytyczne? Można przypuścić 1 na 100? Chyba za wiele, kasa zaś ma z 99 większy dochód, niż z jednego. Powtóre, czy wszyscy uczęszczający do teatru dają swój głos za utworem, nawet kilkakrotnie widzianym? Bynajmniej. Jeden kupuje bilet na komedyę lub farsę, którą uważa za wierutne głupstwo, dlatego, że chce się jakkolwiek rozerwać, drugi dlatego, ażeby z kimś się spotkać, trzeci musi towarzyszyć żonie lub siostrze itd. A z tych rozmaitych pobudek, względów i musów korzysta kasa. Tymczasem krytyk, bądź co bądź, ocenia głównie stronę artystyczną utworu. Gdyby on został cząstką publiczności, niezawodnie uczęszczałby na sztuki kasowe; naodwrót, gdyby rozumna cząstka owej publiczności ujęła pióro krytyczne, zakwestyonowałaby wartość wielu z takich sztuk. Dowodem stałej różnicy w sądach jest wynik obecnych przedstawień konkursowych: najwięcej dochodu dał „Flirt,“ a za najlepszą przez krytyków uznana została „Nauczycielka.“ Co to jest sztuka artystyczna? Jest to utwór poetyczny, który ocenić mogą tylko ludzie z wyrobionym smakiem i który nieraz traci swe uroki w grze aktorskiej. A co to jest sztuka kasowa? Jest to robota sceniczna, czasem niemająca nic wspólnego ani z poezyą, ani z literaturą, ale wstrząsająca lub łaskocząca nerwy. Zwłaszcza łaskocząca. Dlatego największe mają powodzenie komedye i farsy bardzo wesołe. Cokolwiek bowiem deklamujemy o posłannictwie i kapłaństwie teatru, jest on ciągle i długo jeszcze pozostanie przybytkiem zabawy i śmiechu. Posłuchajmy tych tłumów, które do niego biegną; co je tam ciągnie? Czy jakieś wielkie idee, wielkie wzruszenia artystyczne, chęć poddania się czarom poezyi? Wcale nie, lecz rozrywka, nadzieja spędzenia wesoło wieczoru, pokazania się lub ujrzenia kogoś, popisu lub ciekawości. Czasem wspaniałe dramaty lub znakomite opery rzucają ogółowi estetyczne powaby, ale stanowią one tak drobne i słabo przynęty, że w rozbiorze olbrzymiej siły przyciągającej teatru zaledwie je dostrzedz można. Raz tylko w dziejach był on świątynią sztuki— w Grecyi, potem już przeważnie służył uciesze. Nie gniewajmy się przeto na wyrażenie „sztuk kasowych,“ bo one tworzą właściwą podstawę nowoczesnego teatru.

Koniec dzieła.

Przed kilku miesiącami szeroko pisano u nas o powstającej cukrowni udziałowej w Piotrowinie, pow. nowoaleksandryjskim.

Niektórzy korespondenci stworzyli nawet stałą rubrykę, donoszącą o postępach zbiorowego przedsięwzięcia. Ile obiecywano, jak się za pośrednictwem tej cukrowni miały świetnie poprawić interesy właścicieli ziemskich i włościan akcyonaryuszów, trudno byłoby wyliczyć. Fabryka udziałowa miała stworzyć przewrót, być próbą wcielania produkcyi cukru wyłącznie do rolnictwa. Tymczasem doczekaliśmy się wcześniej, niż wróżono — końca dzieła. Nie zebrano dostatecznej ilości podpisów, złożone zaś udziały i zadatki — cofnięto. Nie pierwszy to i nie ostatni przykład upadku zbiorowych działań rolników. Dowodzi to tylko, że w łonie ziemian naszych tkwi jakiś silny czynnik dezorganizacyjny, który nigdy nie pozwoli stworzyć zrzeszonej pracy ekonomicznej, najbardziej utrwalającej podstawy bytu. Widzimy jeszcze jeden rys znamienny: brak jasnego pojęcia o skutkach pracy w takiej formie. Udziałów nie zebrano, pomimo że były dostępne dla ludzi nawet niezamożnych, zatem organizatorowie cukrowni akcyjnej nie zdołali zjednać sobie zaufania drobnych rolników, którzy uważają za najpewniejsze tylko to, co im da matka-ziemia, zorana pługiem pierwotnym i przeznaczona wyłącznie do zasiewania ziarna na użytek domowy.

Zn.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PLANTATOROWIE BURAKÓW I CUKROWNICY.

II.

Na podstawie sprawozdań urzędowych jeden z plantatorów oblicza, iż wydajność cukru ze wszystkich cukrowni w Królestwie Polskiem wynosi 11,3% wagi buraków. Zatem 300 funt. wagi daje 33,9 funtów cukru. Koszt produkcyi z korca buraków wynosi: administracya 6%—15 kop., opał 16 kop., robocizna 13, magazyn 10, remont 8, wydatki ogólne 5, buraki 95 k., akcyza od 33 funt. 85 k. Razem produkcya cukru z korca buraków kosztuje 2 rs. 47 kop. Ponieważ ilość powyższa produktu surowego daje 33,9 funt. cukru, licząc zatem po kop. 11½ za funt, otrzymamy cenę korca 3,73 kop. Czyli — zysk fabryki na korcu buraków wynosi 1 rs. 20 k. Cukrownia przetwarzająca 100,000 korcy przynosi właścicielom 126,000 rs. zysku. Jeżeli zaś (według obliczeń rafinera) uwzględnimy 400,000 rs. jako kapitał włożony w przedsiębiorstwo, otrzymamy 31,5% od tej sumy. Zarobek — jak widzimy — znaczny! Według stronnika przemysłu cukrowniczego, rzecz się inaczej przedstawia: na przerobieniu 100,000 korcy buraków fabryka zyskuje tylko 38,750 rs. Rzecz prosta, że wobec tak różnych wyliczeń, jedna i druga strona mają możność usprawiedliwiania się w sposób wielce przekonywający.

Sięgnijmy jednak do innych źródeł, poważniejszych i na ich mocy zobaczmy, jakie podstawy zbudował sobie przemysł cukrowy od początków istnienia. Graffen, dyrektor biura statystycznego (*Board of Trade*) w Anglii, ogłosił r. 1889 wielce ciekawe dane o produkcyi cukrowniczej na całym świecie, które wykazują stały i ciągły rozwój tego olbrzymiego odłamu wytwórczości. W roku 1853 produkcya cukru wynosiła ogółem na wszystkich obszarach świata zaledwie 1,4 milionów tonn (czyli około 92 mil. pud.). W r. 1878 stanowiła już 3 mil. w r. 1882 3,8 mil. tonu. Od roku 1853 do 1878 przyrost produkcyi wynosił 110%, od roku 1878 do roku 1682 około 26%; od roku zaś 1882 do chwil ostatnich ogólna wytwórczość doszła do 5,2 mil. ton, czyli przeszło cztery razy więcej niż r. 1853. Szczególnie ten wzrost dotyczy cukru, wytwarzanego z buraków. Spożycie również wzrosło olbrzymio, co, rzecz prosta idzie w parze z rozwojem przemysłu. Najwięcej pochłaniają cukru Stany Zjednoczone (1,5 mil. ton rocznie), następnie Anglia (1 mil. ton). W całem państwie ruskiem widzimy również ogromne wzrastanie cukrownictwa, jakkolwiek w Europie zajmuje ono w tym zakresie czwarte miejsce. Wogóle u nas cukrownictwo, jak i gdzieindziej, rozwija się według systemu przemysłu wielkiego i pociąga za sobą znamienne skutki w zjawiskach ekonomicznych. Najcharakterystyczniejsze z nich — udoskonalenia techniczne, jako czynnik taniego wytwarzania. Skutkiem tego liczba robotników z rokiem każdym się zmniejsza. W okresie 1884/85 było ogółem w całem państwie 94,289, w r. 1889/90 już tylko 81,699, czyli o 13,3% mniej, przy czem liczba małoletnich uszczupliła się o 73,4% (mężczyzn 5,4%, kobiet 3,2%). Najwięcej nieletnich pracowało i pracuje w Królestwie Polskiem (w okresie 1889/90 na każdą fabrykę w kraju południowo-zachodnim przypadło po 3 osoby tej kategoryi, w guberniach środkowych po 8 w Królestwie po 19). Według obliczeń Tołpygina, kapitał zakładowy wszystkich cukrowni w państwie wynosi około 80 milionów rubli, roczny zaś obrotowy około 130 milionów. Surowego materyału (buraków) cukrownie przetwarzają co rok 20 milionów berkowców, czyli 200 milionów pudów *). Te dane, z których przytoczyliśmy tylko ogólne, aby nie przeładowywać przedmiotu cyframi, dowodzą aż nadto, jak silnie jest rozwinięta produkcya cukrownicza i oparta na mocnych podstawach.

To też podziwiać tylko możemy odwagę *Gazety warszawskiej*, która jako orędowniczka interesów ziemiańskich, przyjęła pośrednictwo w szermierce plantatorów z fabrykantami; tem bardziej, że polemika owa przybrała ton niebywały dotąd w prasie codziennej, krępującej się zwykle różnorodnymi względami. „Z jakich źródeł cukrownicy czerpią swe znaczne dochody — pyta Ziemianin — skoro dotychczasowe swe fabryki rozszerzają, wznoszą nowe kosztowne zabudowania, które powstają jak grzyby po obfitym deszczu? Wszak dyrektorowie, administratorowie fabryk cukru pobierają pensye ministeryalne, sami zaś właściciele, nie zadawalając się przemysłem cukrowniczym, zakupują majątki ziemskie i okazałe domy w Warszawie.“ O pensyach ministeryalnych, majątkach i domach uwagi nie są przesadzone. Co zaś do źródeł dochodów, nie są niemi wyłącznie plantacye buraków. Niewątpliwie jednak w znacznej mierze przyczyniły się do rozrostu kolosu cukrowniczego. Akcyonaryusze i pojedynczy właściciele słodkiego interesu nieraz, gdy chodziło o rozszerzenie dróg w ich pochodzie, powoływali się na to, że cukrownictwo podtrzymuje gospodarkę rolną i twierdzenie to najuporczywiej wtedy powtarzali, gdy państwo ujawniało dążność protekcyjną względem rolnictwa. Zaprzeczyć temu nie można, że interesy rolników są związane ściśle z cukrownictwem i jeżeli chodzi o łączność ekonomiczną, możemy wskazać inne działy wytwarzania i pracy, gdzie cukrownictwo jest czynnikiem odżywczym. Z całej masy materyałów, używanych przez fabryki rzeczone, ogółem na sumę 43 miliony rubli, bardzo niewielka ilość pochodzi z zagranicy (kauczuk i niektóre produkty drzewne na 180,000 rs.) **). Daje to oczywiście znaczny dochód skarbowi i przyczynia się do podniesienia pewnych działów przedsiębiorstwa.

Jeżeli wszakże obok spożywców wniknięmy w interesy rolników, żadne dowody fabrykantów lub ich przyjaciół nie zatrą istotnego stanu rzeczy, tj. że znaczna większość ziemian im się zaprzedała z wielką szkodą własną. Alarm zatem powstały obecnie, całkiem jest uzasadniony. Sejmikowanie i hałasy wśród warstw rolniczych są zjawiskiem dość powszednim; tym jednak razem postać rzeczy inaczej się przedstawia, gdyż skargi na ciężkie położenie materyalne i wyzysk, towarzyszą jednocześnie przeciwdziałaniom w czynie. Ziemianie z natury leniwi i ospali, usiłują gromadnie bronić swych interesów ekonomicznych i to w sposób praktykowany dotychczas przez wielkich wytwórców. Zachodzi tylko ta różnica, że gdy ostatni stowarzyszyli się przeciwko spożywcom, rolnicy zamierzają tej samej broni użyć na producentów cukrownianych. Mamy fakty: Dostarczyciele surowego produktu do jednej z fabryk w pow. kutnowskim, uchwalili zebrać się wspólnie w bieżącym miesiącu, oznaczyć możliwe ceny za plantacye buraków, upoważnić jednego z właścicieli w imieniu wszystkich do zawarcia umowy z fabryką na rok następny i w razie wrogiego zachowania się fabrykanta, nie plantować buraków po cenie dotychczasowej, jako nieprzynoszącej żadnego dochodu, wreszcie obmyślić sposoby zastąpienia tego produktu innymi ziemioplodami. Wyrazistszy drugi objaw. W dn. 24 października na zebraniu gminnem w Opolu 296 interesowanych postanowiło uregulować ceny drogą porozumienia się wzajemnego. Cukrownia tamtejsza popiera większych plantatorów i drożej im płaci. Otóż pokrzywdzeni włościanie i drobni właściciele na swem zebraniu zabronili zawierać umowy oddzielnie z cukrownią. W tym celu wybrano trzech przedstawicieli: od włościan — Stanisława Skutnika, od mieszczan — Antoniego Piątkowskiego i od szlachty — Władysława Kleniewskiego na lat sześć; na wypadek zaś ich choroby lub śmierci, trzech zastępców (Józ. Wawrzyckiego, Antoniego Bochyńskiego i Jana Kleniewskiego). Mają oni upoważnienie do zawierania z cukrownią kontraktów dla wszystkich *bezwzględnie* właścicieli ziemskich o plantacye buraków po jednakowej dla wszystkich cenie i na korzystniejszych niż dotąd warunkach. Umowy mogą być zawierane tylko na rok. Jeżeli kto zrobi kontrakt samowolnie na własną rękę, zapłaci na rzecz kasy gminnej karę, po 50 kop. od każdego korca buraków, dostawionego do fabryki.

Jak widzimy, jest to poważna zmowa na zmowę, walka zarówno drobnych jak i znaczniejszych przedsiębiorców rolnych z produkcyą wielkoprzemysłową. Jeżeli chodzi o zdobycie lepszych warunków rolnictwa, o wyłamanie się z ciężkiej zależności od cukrowników — walka tym samym orężem jest całkiem racyonalną, rzecz tylko wątpliwa, czy — równa. Rolnicy o słabej energii, wycieńczeni materyalnie, upadający lub borykający się z niedostatkiem i brakiem ulepszonych środków produkcyi, idą w zapasy z przedstawicielami silnie zorganizowanego wielkiego kapitału, z wytwórcami, którzy obroty swoje na miliony obliczają, budują własne koleje pomocnicze, teroryzują nielicznych opornych — syndykatem. Mogą oni nietylko płacić pensye ministeryalne swym dyrektorom, nietylko osiągać większą dywidendę niż wytwórcy w innych odłamach wielkiego przemysłu; ale w razie ostatecznym chwycić się sposobu, który zwykle potęguje wszechwładzę przemysłu wielkiego: wytwarzania na własną rękę produktów surowych. Znaczniejsze cukrownie już dziś zakupują majątki ziemskie, urządzają własne plantacye buraków. Syndykat obejmuje i łączy stokilkadziesiąt fabryk na olbrzymich obszarach, zaczynając od zachodnich granic Królestwa a kończąc daleko po za Dnieprem ku Donowi i Wołdze. Cóż wobec tak silnej i szerokiej organizacyi wielkoprzemysłowej znaczą zmowy plantatorów w oderwanych pojedyńczych gminach, lub porozumiewanie się kilku obywateli w pewnej okolicy? Je-

*) A. M. Tołpygin, *Rozchód materyałów i pracy roboczej.*

**) Dr. K. P. Sullma, *Produkcya cukrownicza w zakresie hygieny*. Petersburg, 1892.

dna szeroka ręka, cukrownictwa, organizująca własne plantacye, może zgnieść do reszty plantatorów-rolników, jeżeli ich usiłowania będą tylko próbami pojedynczemi. Rzecz prosta, nie wszystkie cukrownie mogą się zdobyć na własne plantacye, gdyż to pociągnęłoby znaczne koszty i na szereg lat uszczupliłoby dywidendę wytwórcom cukru. Ponieważ takich jest znaczna większość, więc muszą oni, przynajmniej przez pewien czas, liczyć się z obecnymi dostarczycielami produktu surowego. Jeżeli wszakże rolnicy chcą sobie wyjednać lepsze ceny i większą niezależność, powinni rozszerzyć zbiorowe działanie ekonomiczne. Umowa, dotycząca tylko plantacyi buraków nie jest środkiem zupełnie skutecznym. Aby osiągnąć pomyślne rezultaty, trzeba rolnictwo zorganizować według modły wielkiego wytwarzania, trzeba zrzeszenie sił wyzyskać pod każdym względem, we wszystkich szczegółach gospodarstwa*). Jest to przedmiot, który przekracza granice niniejszej sprawy, więc go odkładamy na później. Co do plantacyi buraków, rolnicy obok zmowy przeciwko cukrownikom, obmyślają różne drogi wyjścia; bądź inne sposoby obliczania wydajności produktu, bądź też stopniowe wyrugowywanie buraków z gospodarstwa i zastąpienia ich bardzo pożądanemi kartoflami, których przecież produkcya tak jest mała, że w ostatnich czasach w Królestwie nie może nawet zaspokoić potrzeb miejscowych. Interesowani dowodzą, że o wiele gładsze stosunki być mogą z gorzelniami, jako silniej niż cukrownie związanemi z rolnictwem. Wszystko to, połączone chociaż ze słabem przeciwdziałaniem, dodatnio świadczy o walce rolników z sennością. Niewątpliwie ożywienie i wzrost energii w tym względzie może im dać chociaż nieznaczne ustępstwa ze strony wytwórców cukru.

Drog.

*) O zbiorowej organizacyi przedsiębiorstw rolnych u nas pomówimy w oddzielnym artykule.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Jarmark futrzany. Od lat paru ciągle słyszymy o zamiarze przeniesienia słynnego jarmarku futrzanego z Lipska do Warszawy. Niedawno zaś dwóch agentów hurtownego handlu międzynarodowego oglądało kilka placów na krańcach naszego miasta, dla wybrania najdogodniejszego punktu na urządzenie składu. Sprawa cała ma być przedstawiona Towarzystwu popierania przemysłu i handlu w Petersburgu; od zdania tej instytucyi tudzież pozwolenia władzy będzie zależało zbogacenie Warszawy jarmarkiem międzynarodowym. Jednym z powodów przeniesienia środowiska handlowego jest ułatwienie dowozu skór futrzanych z dalekiej północy i wschodu, gdzie największa jest ich obfitość. Kupcy i handlarze, przybywający ztamtąd lub wysyłający swych agentów, mogliby łatwiej się porozumiewać z zachodem. Wobec tego trudno przypuścić, ażeby sfery rządowe miały się sprzeciwiać projektowi. Wybranie atoli placów nie jest wystarczające. Utrwalenie jarmarku futrzanego wymaga miejscowej farbiarni i garbarni. Zdaje się, iż o stworzenie takich zakładów nie będzie trudno. Warszawa, zdaniem wielu interesowanych, najodpowiedniejszym jest punktem dla międzynarodowego rynku futrzanego, gdyż łatwiej skupić może interesy handlowe Wschodu i Zachodu. Jednocześnie, jeżeli mamy wierzyć doniesieniom *Kuryera warszawskiego*, tutejsi przemysłowcy otrzymali wiadomość o projekcie utworzenia w Warszawie stacyi pośredniczącej w ułatwianiu stosunków handlowych dalekiego wschodu cesarstwa, a fabrykami angielskiemi i austryackiemi. Koszty utrzymania stałego pośrednictwa mają ponosić obie strony interesowane. Tym sposobem jarmark futrzany byłby niejako jednym z ważniejszych szczegółów owego pośrednictwa i kto wie, czy przy działaniu takiej agencyi nie znalazłby o wiele przyjaźniejszego gruntu niż w Lipsku.

Jedwab. Do zarządu warszawskiego Towarzystwa jedwabniczego z różnych stron kraju nadchodzą liczne zapytania, gdzie w Warszawie spieniężyć można rozwiniętą uprzędzoną, albo skręconą nić jedwabną krajowego wyrobu. Wobec tego instytucya powyższa wzywa miejscowych fabrykantów trykotaży, wstążek, koronek itd. o nadsyłanie jaknajprędzej do biura Towarzystwa (Nowy Świat 41) wiadomości o rodzaju i rozmiarach zapotrzebowania. Pożądane jest, aby fabryki miejscowe przerabiały nici jedwabne krajowej produkcyi. Tym sposobem koszt zmniejszyłby się o sumę cła, opłacanego za jedwab zagraniczny.

Cukier. *Wiest. finansów* donosi, że w wykonaniu Najwyższego rozkazu z d. 6 listopada ministeryum skarbu poleciło czynić za granicą zakupy mączki cukrowej ze sprzedażą i dostawą na stacye: Żmierzynkę lub Winnicę (drogi Połud.-Zachod.) po rs. 5 kop. 10, do Odesy rs. 5 k. 30, do Kijowa rs. 5 kop. 23, do Moskwy rs. 5 k. 60 i do Petersburga rs. 5 k. 65 za pud. Z zamówieniami na partye nie mniejsze niż 610 pudów (wagon) należy się zwracać do oddziału banku handlowego międzynarodowego w Kijowie i Petersburgu. — Zamierzone podwyższenie akcyzy ma dotyczyć tylko mączki cukrowej, w rozmiarach 2 rs. od puda. Dodatkowa zaś opłata 40 kop. od puda cukru rafinowanego podobno ma być zniesiona.'

— Wszyscy naczelnicy powiatów gub. piotrkowskiej tudzież policmajstrowie miast Łodzi i Piotrkowa, utrzymali okólnik gubernatora piotrkowskiego, w którym zalecono, ażeby od 13 grudnia r. p. dokonane były egzaminy wszystkich specyalistów, pracujących w fabrykach i zakładach przemysłowych z umiejętności władania językiem ruskim lub polskim.

Z rynku.

Targi warszawskie dn. 6 i 7 grudnia. *Plac Witkowskiego.* Pszenicy ogółem dowieziono około 1000 korcy, zajmowano się głównie wyborową, za którą płacono 6,10—6,20 (korzec), średnia biała i pstra nie miały powodzenia. Żyto wyborowe sprzedawano po 4,80—4,95, średnie 4,50, pospolite — bez ruchu. Owies po 2,85—3,30, stosownie do gatunku. Za pud siana płacono 45—50 k. (cena idzie w górę), za pud słomy 25—30 k. *Magazyny tranzytowe.* Żyto 73—83 (pud), jęczmień 76—89, owies 72—92, kasza jaglana 93—103, gryka 88—93.

Produkty browarne. Podaż jęczmienia góruje nad popytem; towar płynie wszystkiemi drogami komunikacyi. W ostatnich dniach za korzec dwurzędowego płacono rs. 4 kop. 10—4,65, czterorzędowego 3,90—4,20. Za pud słodu 1,70—1,95. Chmiel krajowy płacono za pud rs. 15—27, za wołyński żądano rs. 25, moskiewski wyborowy 20.

Okowita. Hurtowa wład. 100^0 brutto z potrąc. 2% 10,90, netto bez potr. 10,68, wład. 78^0 br. z potr. 8,50, n. bez p. 8,33. Szynkowa: wład. 100^0 brutto z potr. 2% 11,09, n. bez p. 10,83, wład. 78^0 br. z potr. 8,62 netto bez potr. 8,44.

KRONIKA.

Długi Warszawy do końca r. b. wynoszą 10,230,228 rs. 63 kop. Utworzyły się one z pięciu pożyczek: jednej w wysokości 1,200,000 rs., zaciągniętej r. 1844 na urządzenie zjazdu do Wisły i czterech na kanalizacyę i wodociągi. Dług z r. 1844, będzie umorzony w r. 1893. Ostatni na kanalizacyę 400,000 rs. zaciągnięty w r. z., będzie umorzony w 1928. W r. 1863 opłata na amortyzacyę długów wyniesie 702,477 rs. 27 kop. W tej liczbie procentów 509,148 rs. 64 k. i kapitału 193,328 rs. 63 kop. W r. b. fundusze kasy miejskiej wynoszą 413,321 rs. 96 kop. w tej liczbie 309,664 rs, 59 kop. funduszu zapasowego.

Sprawy społeczne. Podatek jednorazowy 3 rs. ściągany od osób legalnie uwolnionych od wojska, pokryje w części wydatki skarbu w zakresie rekrutacyi i wydawania zapomóg niezdolnym do służby wojskowej szeregowcom. Pobierany już będzie w r. przyszłym. Ostatecznym terminem składania pieniędzy będzie 13 czerwca roku następnego po losowaniu rekrutów. W razie niezapłacenia podatku, grozi kara 30 k. za każdy miesiąc zwłoki. Z powodu wyjątkowo ciężkiego położenia niektórych osób cyfra podatku może być zmniejszona a nawet całkowicie umorzona. Wolne będą całkowicie od podatku: 1) osoby, które z powodu zdrowia lub wogóle ułomności ciała nie zostały zaliczone do pospolitego ruszenia; 2) uważane za jedynie uzdolnionych do pracy członków rodziny; 3) osoby, które najmniej sześć tygodni przebyły w służbie czynnej i wskutek choroby zostały przeniesione do pospolitego ruszenia; 4) członkowie tych rodzin, których najbliżsi krewni podczas ostatniego powstania polskiego cierpieli za swoją wierność dla Tronu i wskutek tego zostali uwolnieni od służby wojskowej, dla wynagrodzenia ich za poniesione straty rodzinne (*Warsz. Dniew.*).

— W W. Ks. Poznańskiem zamieniono obwód dominialny Wielkie Góreczki (w pow. rawskim) na obwód gminny z nazwą *Friedrichsort*; w pow. obornickim obwód dominialny Boguniewo na gminę *Buchenhein*, w pow. węgrowskim obwód dominialny Runowo na gminę *Kaisersaue*.

Szkoły. W łódzkiej szkole rzemieślniczej, wakuje stypendyum imienia gen. Kochanowa, 174 rs. rocznie dla dzieci urzędników, a w braku tych dla dzieci ubogich mieszkańców Łodzi, bez różnicy wyznania.

— Właściciele warszawskich zakładów gimnastycznych otrzymali zawiadomienie, iż wstęp uczniom na ćwiczenia został wzbroniony, z wyjątkiem tych, którym lekarze gimnazyalni zalecili owe ćwiczenia dla zdrowia.

— Z początkiem nowego roku szkolnego po raz pierwszy wprowadzona będzie nauka gimnastyki w gimnazyach żeńskich.

Zdrowie publiczne. W ubiegłym tygodniu skonfiskowano przekupniom warszawskim 90 funtów zepsutych ryb tudzież 140 fun. nieświeżego szkodliwego dla zdrowia kawioru.

— Ogólna śmiertelność w Warszawie zwiększyła się nieco w ubiegłym tygodniu. Na choroby zakaźne zmarła jednak stosunkowo niewielka liczba osób.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej otrzymała projekt utworzenia zakładu dla chorych nieuleczalnych. Inicyatorowie, na których czele stoi L. Wrotnowski rozporządzają kapitałem w sumie 50,000 rs.

— Urząd lekarski prosi wszystkich wolnopraktykujących lekarzy, aby mu koniecznie przysyłali wiadomości o osobach dotkniętych chorobami zaraźliwemi i śmiertelnemi. Niedbali w tym względzie pociągani będą do odpowiedzialności sądowej.

— Ministeryum komunikacyi wydało rozporządzenie, ażeby na wypadek zjawienia się cholery pośród rekrutów przewożonych kolejami z gub. zachodnich, natychmiast otwarto baraki sanitarne na stacyach: Kowel, Brześć i Białystok.

Sprawy kolejowe. Otwarcie kolei Nadnarwiańskiej na obu liniach, między Ostrołęką i Łapami tudzież Ostrołęką i Małkinią, nastąpi w przyszłym miesiącu. Stacye pasażerskie urządzone będą: w Ostrowie, Ostrołęce, Guzinie, Zyzniewie, Norach i Czerwonym Borze. Cały tabor dla ruchu osobowego i towarowego wysłany będzie z kolei Poleskich.

— Kolej Moskiewsko-Rawska przejdzie w posiadadanie skarbu z dn. 1 stycznia r. 1893.

Wiadomości literackie. Towarzystwo Muzeum przemysłowego w Wiedniu wydało cenną pracę prof. Hanauseka: „Rodzaje kurzu w zawodach przemysłowych." Są to rozbiory i rysunki kurzów we wszelkich rękodzielniach, fabrykach, tudzież wskazówki, jakie z nich wywiązują choroby zawodowe, oraz jakie są wymagania hygieny społecznej w tej mierze.

— Wyszedł z druku ostatni 7-my tom zbiorowych dzieł Moltkego. Książka zawiera mowy wygłaszane w parlamencie.

— Sprzedaż pojedynczych numerów dziennika *Rozwleczenie* została wzbroniona.

Na gwiazdkę. Księgarnia Gebethnera i Wolffa przygotowała następujące książki dla młodzieży: R. Stephensona, *Skarby na wyspie* powieść (illustr.), str. 214; Teresy Jadwigi *Różne ścieżki*, powieść dla dorastających panien, str. 242; Fr. Hoffmana *Zagrzebani w śniegu* powiastka, str. 164; Ks. Schmida *Róża z Tannenburga*, powieść (wyd. nowe), str. 186; *Robinson* (wyd. nowe, przekł. Chęcińskiego), str. 123; M. J. Zaleskiej *Bajeczki prawdziwe* (wyd. drugie), str. 247.

Współpracownik nasz Brolis wydał zbiór swoich obrazków powieściowych p. t.:

MARZENIA,

w którym mieszczą się: Baśń mitologiczna, Jurgis Durnialis, Ibrahim, Z dziennika pesymisty.

Książkę otrzymać można za pośrednictwem Administracyi „Prawdy“ i wszystkich księgarń. Cena kop. 50, z rekomendowaną przesyłką pocztową kop. 64.

DOSTAWCA CES. I KRÓL. DWORÓW
PATENTOWANY
„EXSICCATOR“
NISZCZY GRZYBEK DRZEWNY
USUWA WILGOĆ NA ZAWSZE ETC.
ADR. RITTER WARSZAWA
POTRZEBNI AJENCI
BROSZURA BEZPŁATNA

Nakładem naszym wyszła

PSYCHOLOGIA DZIECKA

Dr. med. L. Wolberga.

Cena rs. 2, *z przesyłką pocztową* rs. 2 k. 20. *Pragnący posiadać tę książkę zechcą nadesłać pieniądze lub polecić wyekspedyować ją za pobraniem pocztowem. — Egzemplarze oprawione o 20 kop. drożej.*

OGŁOSZENIA.

KSIĘGARNIA

TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

w Warszawie, Nowy Świat Nr. 41.

poleca następujące nowe dzieła, własnym nakładem wydane:

	Rs.	k.
Amicis Edmund de. Ze szkoły i z domu. Przełożyła z włos. Marya z Siemiradzkich Obrąpalska	1	50
Beecher-Stowe. Podjadki szczęścia rodzinnego. Opowiadanie. Z przedmową Estei	—	75
Bełcikowski Adam. Ks. Stanisława Grochowskiego żywot i pisma. Studyum literackie	1	80
Bert Paweł. Początkowa nauka przyrody dla młodzieży. Przełożyli J. J. Boguski i Adolf Dygasiński. Z 520 drzeworytami w tekście	1	80
Bleibtreu Karol. Napoleon. Studyum historyczne. Spolszczył Adam Nowicki	1	50
Buchanan Robert. W chwilę po śmierci. Wędrówka w kraje nieznane. Przeł. z ang. Anatol Krzyżanowski	—	50
Choińskl-Jeske T. W pętach. Powieść	1	50
Dąbrowski Ignacy. Śmierć. Studyum	1	20
Dygasiński Adolf. Garstka. Zbiór nowel, obrazków i studyów	1	50
Gliński Kazimierz. Splątane nici. Szkice i obrazki	1	50
Hansson Ola. Szkice literackie. Młoda Skandynawia	—	75
Haufe E. dr. Dziecko i rodzina. Wskazówki kształcenia domowego dla matek	1	—
Heilpern M. Tajemnice przyrody. Cz. II. Jak żyją rośliny, jak się odżywiają, rosną, rozmnażają i poruszają	2	—
Historya naturalna w obrazach. Cz. II. Botanika i mineralogia w 269 kolorowanych obrazkach, z tekstem Feliksa Wermińskiego. Wydanie wspaniałe, złożone z 25 chromolitogr. tablic. W oprawie	4	—
Kornig Th. dr. Jak się obchodzić z nerwowymi?	—	60
Krzemiński Stanisław. Krzysztof Kolumb. Przyopmnienie życia i zasług	—	50
Rzętkowski St. M. Z pomiędzy ludzi. Szkic z natury	1	20
Schopenhauer A. Sztuka prowadzenia sporów	—	40
Sewer. W cieniu i w słońcu. Obrazki	1	60
Stuart Phelps Elżbieta i Ward Herbert D. Powstań. Powieść historycz. z czasów Jezusa Chrystusa	1	35
Szebekówna Józefa. Życie syzyfowe. Powieść	1	—
Tajemnice magii i spirytyzmu w świetle nauki. Opracował F. J.	1	20
Treadwell F. P. i dr. V. Meyer. Tablice do analizy jakościowej	2	—
Verne J. Bez przewrotu. Przeł. z franc. Julia Zaleska	—	80
Veron Eugeniusz. Estetyka. Przełożył z francuskiego A. Lange	3	—
Załęska Anna. Dobre dzieci. Zbiór powiastek z licznymi oryg. rys. J. Pankiewicza	2	—
Zeisel S. dr. Chemia (nieorganiczna i organiczna). Ogólny wykład zjawisk chemicznych oraz ich zastosowania w życiu praktycznem. Z 261 drzeworytami w tekście. Z niem. przeł. M. Flaum	5	—

ROLNIK I HODOWCA

Tygodnik rolniczo-przemysłowy, poświęcony sprawom ekonomicznym wiejskim, wszelkim gałęziom rolnictwa i przemysłu wiejskiego oraz hodowli inwentarza żywego.

W r. b. **Rolnik i Hodowca** kończy 10 lat istnienia, a pragnąc uczcić ten krótki jubileusz służby publicznej, Redakcya oprócz zwykłego dodatku **bezpłatnego**, którym jest 2-ga cz. dzieła ***Weterynarya gospodarska***, przeznacza nadto jako **2-gie premium bezpłatne**

Komplet Rejestrów Gospodarskich.

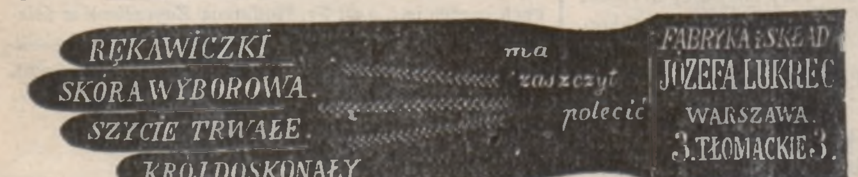
Niezależnie od tych kosztownych dodatków, pragnąc ułatwić czytelnikom kupowanie dzieł specyalnych, Redakcya **obniżyła chwilowo ceny** na wszystkie wydawnictwa swoje do kosztu samego papieru i druku.

Szczegóły wykazane są w prospekcie, który na każde zapotrzebowanie wysyła się bezpłatnie.

Prenumerata **Rolnika i Hodowcy** wynosi w Warszawie: rocznie rs. **7**, półrocznie rs. **3** kop. **50**. Z przesyłką pocztową: rocznie rs. **8**, półrocznie rs. **4**. Na przesyłkę premiów załączać należy rs. **1**.

Adres Redakcyi: Hoża 64.

Redaktor i Wydawca **Henryk Kotłubaj.**



Wydawnictwa „Prawdy.“

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tłom. K. Lewald rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom. K. Lewald—rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1 k. 5o.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 5o).

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko—k. 5o.

— **Klemens Boruta**, powieść — k. 40.

— **Niewinni**, dramat w trzech aktach—k. 8o, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.

N. Hirszband. **Byron** w urywkach — rs. 1 kop. 20, z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

K. Lewald. **Historya XIX w.** od r. 1800—1888 — rs. 3 k. 3o, z przesyłką rs. 3 k. 6o.

E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, w przekładzie A. Bąkowskiej — rs. 2., z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 25.

M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa — rs. 2, z przesyłką rs. 2. k. 25.

Skład Win
P. A. KRZYMIŃSKIEGO

Wierzbowa Nr. 3, w Warszawie,

poleca wszelkie Wina, Koniaki, Likiery zagraniczne oraz Wina Krymskie „Oreanda“ z winnic Jego Ces. Wysok. Wielk. Księcia Konstantego.

Braunstein & Meisel

Warszawa, Senatorska 22,

REPREZENTACYA I GŁÓWNY SKŁAD

RUSKO-FRANCUZKIEGO

Towarzystwa Akcyjnego „Prowodnik“

polecają

KALOSZE GUMOWE

Linoleum (dywany i chodniki korkowe),

Techniczne i Chirurgiczne i inne **WYROBY GUMOWE.**

Spółka Nakładowa

zawiązana przez grono pisarzów polskich, ma na celu wydawanie dzieł pierwszorzędnej wartości naukowej i literackiej, oryginalnych i tłomaczonych, wzbogacających istotnie umysłowe zasoby kraju. W przekonaniu, że literatura stanowi ważny i trwały grunt do życia i rozwoju społeczeństwa, że mu dostarcza sił żywotnych, Spółka Nakładowa grunt ten w miarę swej mocy rozszerza nabytkami książkowemi rzetelnej i nieprzygodnej ceny. Dotąd wydane dzieła dość wyraźnie już określają kierunek i charakter jej przedsięwzięcia

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 rs. 2.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 5o.

Gumplowicz L. System socyologii— rs. 3 k. 3o.

Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i innych. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — rs. 1 k. 20.

— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej. Str. XIII i 327 — rs. 1 k. 5o.

A. Okolski Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P.—rs. 3.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno - społeczne, str. 66 — kop. 60.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora—rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1 kop. 8o.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i eksped. **Spółki Nakładowej** Warszawa, **Marszałkowska, 95**

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 27 Ноября 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**